Nr. 31 (535). WARSZAWA, 3 sierpnia 1929 r. ROK XXII.



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU
POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P. K. O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. **Numer ozdobny** 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 40 groszy; cała strona — 224 zł., ½ — 112, ¼ — 56, ⅛ — 28. Przed tekstem — 50% drożej; na karcie tytułowej — 100% drożej.

W numerach ozdobnych: za tekstem 60 gr., strona — 336 zł., ½ — 168, ¼ — 84, ⅛ — 42. Przed tekstem — 50% drożej. Na karcie tytułowej i okładce — 100% drożej.

Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Słów kilka o myśliwskim prochu dymnym.

Technika, wprowadzając z postępem czasu najrozmaitsze udoskonalenia niemal w każdej dziedzinie naszego życia, nie mogła pominąć również i myśliwstwa. Rozmiłowany w swym sporcie myśliwy, z prawdziwą satysfakcją bierze dziś do ręki broń, która pod każdym względem odpowiada jego wymaganiom. Oko znawcy z lubością spogląda na obróbkę luf, z satysfakcją bada sprawność funkcjonowania wyrzutu cyngli i ukrytych kurków, a będąc w posiadaniu kosztownej bądź co bądź strzelby-cacka, stara się obchodzić z nią jak najostrożniej i najstaranniej.

I zdaje się nam, że do nowoczesnej broni stosować się winno i nowoczesny proch, a więc do fabrykacji naboi proch bezdymny.

Popełniamy tu błąd i gwoli ratowania „honoru" prochu dymnego, musimy przypomnieć jego zalety, a nieco zdyskredytować bezdymny.

Balistyczne własności prochu bezdymnego nie podlegają dyskusji: są bezwątpienia wyższe. Lecz pamiętajmy, że dotyczą one kuli, a nie śrutu. Pamiętajmy że rozsiewanie, jak i zdolność przebijania w dobrej broni osiągnąć można i prochem dymnym.

Myśliwy nie strzela do zwierzyny na setki metrów i nie potrzebuje przed nią maskować ognia swego „dymnego" strzału. Stosujemy na grubego zwierza proch bezdymny, ale bijmy zające i kuropatwy prochem dymnym, pamiętając, że do wróbli nie strzela się z armaty.

Proch bezdymny ma jedną ważną wadę: gazy wybuchowe, szczególnie w wilgotnym powietrzu, niszczą z biegiem czasu najlepszą lufę, utworzone bowiem związki chemiczne zgryzają ją szybciej i energiczniej, aniżeli związki z prochu dymnego.

Lufę po strzale prochem bezdymnym należałoby czyścić natychmiast, podczas, gdy przy prochu dymnym konieczność ta nie zachodzi.

Następnie proch bezdymny do czasu tylko może być przechowywany, gdyż ulega rozkładowi. Nabój, który z tej lub innej przyczyny dłuższy czas leżał w ukryciu, należy sprawdzić, gdyż może zawieść. Proch dymny wady tej nie posiada; pozostawiony w opakowaniu, czy też w nabojach może bez zmiany własności leżeć latami, pod warunkiem, że strzec go będziemy przed wilgocią. W końcu należy podkreślić, że proch dymny jest tańszy od bezdymnego.

W handlu spotykamy proch dymny pod postacią ziarna grubego Nr. 4, średniego Nr. 3 i drobnego Nr. 2.

W łusce myśliwskiej, w tak zwanej komorze prochowej — jej pojemność jest dla danego kalibru zawsze ta sama — pomieścić się może więcej prochu Nr. 2, mniej zaś Nr. 4. Większa dawka prochu zwiększy efekt strzelniczy, mniejsza zaś obniży własności balistyczne.

Myśliwy więc ma możność przystosowania swego strzału do warunków, w jakich się znajduje, mając pod ręką odpowiedni asortyment naboi.

Nie odrzucając więc prochu bezdymnego, nie zapominajmy jednak o zaletach dymnego.

Czesław Odrowąż-Pieniążek — W CESARSTWIE MENELIKA.

Jednocześnie zaś, widząc przedstawiciela władzy, po tem, co zaszło, manipulującego coś podejrzanie przy karabinie, huknąłem i jego dla porządku. Efekt był zgoła nieoczekiwany. Stróż bezpieczeństwa usiadł zmartwiony na ziemi, trzymając się oburącz za zbolałą część twarzy. Ludzie moi, zainteresowani niezmiernie tym pierwszym moim występem w obronie karawany, nie zwrócili uwagi na samopas idące muły, które rozlazły się w jednej chwili po rozmaitych podwórkach i zakamarkach. Po kłopotliwem zebraniu rozpierzchniętej karawany, niemolestowany przez poszkodowaną „władzę", ruszyłem dalej ku krańcom miasta.



Zergu.

Przy rogatce — nowa nieprzyjemność! Tym razem chodziło o długi mego głównego askara, Kumalu. Nowy wierzyciel zatrzymał nas w licznej asyście posterunku wojskowego. Nie chcąc wywoływać drugiego spotkania bokserskiego, uregulowałem pretensje bez gadania, gdyż obawiałem się, że, jak tak dalej pójdzie, to wkońcu zawędruję do aresztu, gdyż moje występy rząd miejscowy mógł wreszcie poczytać za zamach na swoją suwerenność.

Opuściłem granice gościnnej stolicy, a niebezpieczeństwa wielkomiejskie na długie miesiące przestały czyhać na mnie. Po czterogodzinnym marszu wydałem rozkaz rozłożenia obozu.

Obóz Nr. 1 nad rzeką Akaki.

22-go lutego noc była bardzo zimna, spałem pod psem, gdyż ognisko wygasło szybko. Odczułem po raz pierwszy brak drzewa opałowego, którego w obrębie 15 kilometrów od Addisy zupełnie niema.

Obóz nasz znajdował się na stoku skalistego parowu. W głębi szumiała kotłująca się pomiędzy głazami, Akaki, jedna z nielicznych, stałych rzek abisyńskich, wpadająca do rzeki Hawaszu.

Zrana wysłałem Mahomeda po pocztę i brakujące drobiazgi z powrotem do Addisy, sam zaś urządziłem sobie pukaninę do kaczek i ibisów.

Na drugi dzień rano wyruszyłem dalej na południe. Nikt z moich ludzi nie znał drogi. Najlepsza, istniejąca mapa Abisynji, angielskiego sztabu generalnego w skali 1 : 2.000.000, okazała się w wielu wypadkach bujną fantazją. Skala dokładności wahała się od 20 do 30 kilometrów; nazwy zupełnie nieznane były przez tuziemców, którzy widocznie nie przyswoili sobie jeszcze skomponowanych przez anglików. Jedyną moją wskazówką było słońce, — słońce bardzo piekące, które odrazu dało mi się dobrze we znaki. Po sześciogodzinnym marszu przez okolicę częściowo uprawianą, płaską i dosyć gęsto zaludnioną, natknąłem się na rzekę, jak się okazało, Wielką Akaki, i tu założyłem na płaskim, kamienistym, z czarnej lawy, brzegu, swój obóz Nr. 2.

Obóz Nr. 2.

Drogowskazem moim w tych pierwszych i wielu następnych dniach był także dawno wygasły wulkan, Sukwala (2946 m.), na którego szczycie znajduje się klasztor, oraz jezioro w kraterze, uważane za świętość. Kąpiel w tem jeziorze dla łaknących ochłody, nielicznych turystów jest bezwzględnie zabroniona. Sylwetka nagiego stożka wulkanicznego działała na mnie wkońcu bardzo deprymująco, gdyż tygodniami był widoczny.

Ludziom, którzy się podczas marszu bardzo dobrze sprawowali, dałem dziś kilka „bessa" na kupno „talu", piwa abisyńskiego, robionego z pszenicy. Po drodze zastrzeliłem na kolację dziką gęś, którą mój kucharz upitrasił na rożnie.

Dzień następny odpoczywaliśmy. Zabiłem trzy kaczki. Zacząłem ludzi swoich gwałtownie, mimo gorących protestów, przyzwyczajać do kąpieli w rzece. Przy tej okazji odbyła się nieudana próba łapania ryb przy pomocy ich płóciennej garderoby; wędek, które miałem, nie chciało mi się odpakowywać. Przebyty dzień marszu spowodował bolesne oparzenie mojej twarzy na słońcu oraz odtłuczenie nóg na kamienistej drodze, — szedłem dla dawania przykładu ludziom również pieszo. Utrapieniem zaczęły być roje much. Z trudem mogłem się obronić oganiaczką z włosia końskiego, z którą później ani na chwilę nie rozstawałem się. Upał szalony, 60° R. potęgowała czarna lawa, promieniująca ciepło słoneczne. Urozmaiceniem tej ciszy upalnej były częste i nagłe wiry powietrzne, które w formie trąby porywały namioty przytrzymywane resztkami sił moich zmęczonych ludzi. Za cały swój kostjum miałem: hełm tropikalny, „shorts" i marokańskie „babusze".

Piątego dnia, równo ze wschodem słońca, dałem sygnał do nowego odmarszu. Po dwugodzinnej, uciążliwej pracy ładowania niesfornych mułów ruszyliśmy w drogę.



Mohamed i Gurmu.



Ładowanie muła.

Kraojbraz zaczął się zmieniać. Uprawne pola znikły, osady zamieszkane były coraz rzadsze, z trudem można było rozróżnić je okiem na monotonnym stepie, zarośniętym rzadkim jeszcze „buszem" afrykańskim. Wsie te wyglądały jak stogi trzciny lub siana, zlewały się zupełnie w kolorze ze spaloną przez słońce roślinnością. Szlak, który dotychczas był jako tako widoczny, zmienił się w krętą, często znikającą zupełnie ścieżkę. Cisza kompletna, w promieniach palącego słońca niezamącona jakimkolwiek bądź ruchem, zjawieniem się zwierzęcia, ptaka lub owadu nawet. Na horyzoncie we wszystkich stronach — ciemne, ruchome kolumny, które, wsparte na ziemi, jakgdyby podpierały ziejący żarem, szaro-niebieski firmament nieba.

Niesamowity bywał widok zjawiającej się ze wzrastającym szumem, ni stąd ni zowąd, trąby powietrznej, ożywiającej w mgnieniu oka najbliższą, jakby w letargu i bezwładzie pogrążoną, okolicę. Ruch ten nagły, wzbudzony tajemniczą siłą, wprowadzał w otoczeniu na kilka chwil, kontrastowy obrazek chaosu który, jak szybko się zjawiał, tak szybko znikał. Następowała znowu monotonna cisza.

Siedem godzin marszu doprowadziły mnie do rzeki Hawasz.

Obóz Nr. 3.

Okolica obfitowała w dobrą paszę i suche drzewo Ledwo obóz rozbiliśmy, zjawiły się, jak z pod ziemi wylazłe gnomy, czarne postaci szczepu Guragwe. Od nich dowiedziałem się, że w rzece mają być hipopotamy, a w haszczach pobliskich — dziki. Jednakże obiecanej zwierzyny, mimo dwudniowego bobrowania w okolicy, nie spotkałem. Pastwą mojej dubeltówki natomiast stało się kilkanaście perliczek, które zabiłem dla siebie i dla moich ludzi. Widziałem też kilka gazeli, których nie mogłem zidentyfikować, o strzelaniu zaś mowy nie było gdyż tylko mignęły mi o kilka kroków w niedostępnych gąszczach.

Tu nastąpiło pierwsze nieporozumienie z moimi czarnymi; próbowali mnie szantażować groźbą natychmiastowego opuszczenia, o ile im nie podwyższę wynagrodzenia. Zlikwidowałem ten incydent obietnicą uregulowania tej sprawy, ale dopiero po powrocie do Addisy, gdzie zresztą mieli dopiero dostać resztę swojej gaży, po powrocie ekspedycji.

Mimo że okolica była dogodna dla obozowania postanowiłem forsownymi marszami odsadzić się jaknajdalej od Addisy, a tem samem odebrać czarnym ochotę opuszczenia mnie i zostawienia na łasce losu, co kilkakrotnie spotkało inne, niefortunne ekspedycje, starające się poznać bliżej ten miły kraik. Zdecydowałem się wziąć stąd przewodnika, któryby mnie doprowadził do jeziora Zwai-Dembel.

Ruszyliśmy i, po pięciogodzinnym, forsownym marszu na dół i do góry, przez rozmaite, wyschłe łożyska rzek, przez pustynię bezwodną, porośniętą zbitym buszem bez źdźbła trawy, dowlokłem się po, zdawałoby się, niemożliwej przeprawie przez rzekę Hawasz — do gołego płaskowzgórza, na którem rozbiłem namiot i zatknąłem, jak zwykle, lancę ze swoim proporcem.

Obóz Nr. 4.

Wracając do wyżej wspomnianej przeprawy, niesłychanie trudnej i tragicznej, muszę nadmienić, że muły obładowane pakami, które powiększyły ich rozmiary wszerz, z trudem przeciskały się w wyżłobionych, kamiennych przesmykach, utworzonych wiekową erozją i wydeptanych przez niezliczone stada zwierząt. Przesmyki te znajdowały się w skalistym i niedostępnym w innych miejscach, urwistym brzegu rzeki. Był to jedyny bród Hawaszu na dziesiątki kilometrów w okolicy.

Spotkała mię tu bardzo dotkliwa katastrofa. Sztucer mój Blands, powierzony jednemu z moich askarów, uległ zupełnemu zniszczeniu przez złamanie kolby w obsadzie i uszkodzenie zamku. Nastąpiło to z powodu potknięcia się muła, który całym swoim ciężarem i ładunkiem zwalił się na askarisa niosącego ten cenny i potrzebny sztucer. Niestety, tylko askar zdążył uskoczyć, gubiąc sztucer, który, spadłszy na kamienisty, nierówny teren, został zgruchotany pod ciężarem muła i pak. Tu również uszkodzony został i browning automatyczny, który wyszedł z tych tarapatów ze zruszonym wizjerem. W tym stanie broni moja wyprawa, z punktu widzenia myśliwskiego, stała się bardzo poważnie skrępowaną przez posiadanie tylko dwustu nabojów do sztucera Browninga.

Brzegi Hawaszu, zarośnięte tropikalną roślinnościa, rozbrzmiewały rozgłośnem szczekaniem pawjanów, po gałęziach śmigały, jak wiewiórki, liczne stada zielonych babonów (małp).

Kapitalny jest widok stada pawjanów, idącego na przechadzkę. Stare samce, z podniesionym i wygiętym w kabłąk ogonem, ogrzywione, jak lwy, dumnie kroczą na czele kotłującej się za nimi z piskiem i skowytem, niesfornej rodziny.

Ludziom moim zrzedła ogromnie mina, gdyż okolica roiła się od „szyftów" czyli bandytów szczepu Arussi, a ponieważ moi czarni obrońcy nie odznaczali się zupełnie odwagą, — widząc jeszcze zniszczoną moją broń, starali się mnie przekonać, że najlepszem zakończeniem tej homerycznej wyprawy byłby powrót do Addisy.

Siedząc wieczorem w fotelu przed namiotem i podziwiając na niebie Krzyż Południa, zauważyłem wdali, czczoną jak świętość, górę Sukwalę w ogniu, — paliły się trawy. Widok ten, połączony ze wschodzącym z za gór księżycem, był wspaniały.



Karawana w drodze.



PIERWSZA POLSKA POWSZECHNA WYSTAWA ŁOWIECKA W POZNANIU.

Z prawdziwą radością czytałem artykuł p. Janusza Domaniewskiego, dotyczący Pierwszej Powszechnej Wystawy Łowieckiej w Poznaniu, na łamach „Łowca Polskiego" nr. 25/26, z dnia 22.VI. r. b.

Z przyjemnością stwierdzam, że artykuł jest napisany przez specjalnego delegata Cent. Zw. Pol. Stow. Łow. w sposób niezwykle rzeczowy, interesujący, a przedewszystkiem objektywny!

Oczywiście, że każda rzecz stworzona przez ludzi — podlega krytyce innych ludzi, — tylko z tą różnicą, że każda krytyka jest daleko łatwiejszą, niż stworzenie pewnego dzieła, a miło mi słyszeć, że właśnie p. D. nazywa imprezę Pierwszej Polskiej Powszechnej Wystawy Łowieckiej dziełem trudnem w wykonaniu, a pożytecznem w następstwach!

Jako prezes Komitetu Wystawy Łowieckiej czuję się jednakże na pierwszem miejscu powołanym do dania kilku wyjaśnień wobec wszystkich Kochanych Towarzyszy z pod znaku św. Huberta, i czytelników „Łowca Polsk.".

Wyjaśnienia te nie mają na celu wywołania jakiejś długiej dyskusji, przeciwnie, mają one pozostać tylko wyjaśnieniami do pięknego sprawozdania p. D. i częściowo bardzo sprawiedliwej oceny pracy Komitetu Wystawy.

Jestem jednakże przekonany, że gdyby p. D. był łaskaw podczas swego pobytu w Grodzie Przemysława o spotkanie się zemną postarać, lub też łaskawie odwiedzić Biuro W. Z. M. przy ul. 27 Grudnia 19, oraz zasięgnąć dokładnych, specjalnych informacyj o poczynaniach Komitetu Wystawy Łowieckiej, treść artykułu Jego wypadłaby inaczej!

Niestety, nie mogłem służyć swoją osobą, służącą zawsze i wszędzie na rozkazy poczynań Łowiectwa Polskiego, gdyż o pobycie p. delegata Z. Pol. Stow. Łow. na terenie Poznania nic mi nie było wiadomo.

Należy tylko głęboko ubolewać, że Wydział Wykonawczy Zw. Pol. Stow. Łow., wysyłając swego specjalnego delegata na Wystawę Łowiecką w Poznaniu, nie uważał za wprost konieczne, chociaż kilka dni naprzód zawiadomić W. Z. M. o przyjeździe swego emisarjusza! Nie nas więc tutaj spotyka wina, gdyż Komitet Wystawy Łowieckiej zawsze i o każdej porze służy z największą gotowością wszystkim reprezentantom prasy własnej, jak i zagranicznej, wszelkiemi informacjami.

Przechodzę do treści sprawozdania p. Janusza Domaniewskiego. Uwagi ogólne:

Jestem zupełnie przedświadczony, że Pawilon Łowiecki pod względem architektonicznym nie stoi na wyżynie! Gdyby Szanowny Autor był się w zaraniu przekonał o trudnościach tworzenia Wyst. Łow., z jakiemi walczyć musiał Komitet Wystawy, w stosunku do dyrekcji P. W. K., gdyby wiedział, jakie kamienie rzucano z różnych stron pod nogi ludzi pracujących ideowo z niezwykłem natężeniem pracy i energji w celu stworzenia tego pięknego dzieła zjednoczonego dzisiaj po latach niewoli, Łowiectwa Polskiego, toby bezwzględnie uznał, że nie można było stawiać warunków, tylko przyjąć to, co nam łaskawie raczyła ofiarować dyrekcja P. W. K.!

Wszelkie komentarze w tym kierunku są zbyteczne, gdyż doprowadziłoby to na flukta szerokiej dyskusji, którą pod każdym względem chciałbym w interesie sprawy ominąć.

Jednakże na tem miejscu chciałbym stwierdzić, że właśnie przy urządzeniu Wystawy Łowieckiej można było spostrzec, jak mało rozwinięta jest etyka łowiecka i wogóle pojęcie o łowiectwie w narodzie polskim.

Nie mówię tutaj o warstwach niższych, ale mam na myśli tutaj sfery inteligencji, która nie znając walorów skarbów Łow. Polsk., bagatelizowała imprezę Wyst. Łow., uważając ją za zabawkę paniczów, a nie jako jedną z gałęzi kultury polskiej, opartej na starej wiekowej tradycji, i jedną z dochodowych gałęzi Państwa!

Dopiero kiedy ujrzano wspaniałe wprost eksponaty nadchodzące z całej Polski do Pawilonu Łowieckiego, kiedy spostrzeżono, że Pawilon Łowiecki był gotowy i wykończony jeden z najpierwszych, przedstawiając się pod każdym względem wspaniale, tak pod względem formy, jak pod względem zawartości, zaczęły się odzywać głosy: „Żebyśmy byli wiedzieli, że Łowiectwo posiada takie skarby w Polsce, bylibyśmy się do tej sprawy inaczej zabrali!"

Cóż na to teraz odpowie Szanowny Autor, a cóż powiedzą teraz Szanowni Czytelnicy? Czyż było w tych warunkach wogóle możliwem stworzyć inny pawilon! A przecież jeleń na pawilonie, to nie twór Komitetu Łow., tylko narzucona nam ornamentacja przeciwko naszej woli przez P. W. K.

Tyle co do wyglądu pawilonu! Nie będę się wdawał w ocenę urządzeń wewnętrznych, gdyż i to od nas nie zależało, — nie wszystko mogliśmy tak urządzić, jakbyśmy chcieli.

Napisy oczywiście, na porożach klasyfikowanych robione w pośpiechu ołówkiem, były tylko prowizoryczne, — dzisiaj można ujrzeć wszędzie napisy drukowane, z dokładnem podaniem pomiarów, wagi poroży przy parostkach kozłów, punktów wodnych i t. d.

Ubolewać należy, że podano bez wiedzy Kom. Wyst. Łow. kilka odbitek zrobionych jeszcze przed wykon-

czeniem Wystawy, a więc po wykończeniu całkiem zmienionych. Naprzykład zbiór ks. Sapiehy przedstawia się dzisiaj ustawiony w formie piramidy, znacznie efektowniej.

Strona naukowa: Katalog Wyst. Łow. sporządzony przez p. sekretarza W. Z. M., Władysława Kostrę, i gotowy w dniu otwarcia, daje zupełny pogląd na całą Wystawę. Komitet był przeświadczony, że właśnie sprzedaż katalogu Wyst. Łow. przyniesie komitetowi poważne zyski! Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie! Pomimo że bywają dnie, w których tysiące ludzi odwiedza pawilon łowiecki, zaledwie kilkunastu znajduje się chętnych do nabycia katalogu!

Widać tu więc znowu poważny brak kultury łowieckiej w naszym narodzie, w przeciwieństwie do społeczeństwa niemieckiego, co można zauważyć na dorocznych wystawach berlińskich! Pozbycie się więc specjalnego przewodnika natrafiłoby na jeszcze większe trudności w rozsprzedaży tysięcy egzempl., które naraziłyby kasę Komitetu na nowe, poważne wydatki.

Szanowny Autor uważa ugrupowanie trofeów wybranych za jeden z ważniejszych braków na Wystawie.

Zgadzam się w zupełności, lecz można tu mówić tylko o wystawach lub pokazach dorocznych, a nie o Wystawie Powszechnej! Lecz i tutaj staraliśmy się o to, aby te poroża, co do których to było możliwe, zestawić dla oceny zwiedzających razem, naprzykład grupa najlepszych jeleni karpackich, dalej grupa najlepszych parostków i grupa szabel dziczych!

Trudno jednakże jest rozbijać poważne zbiory wbrew życzeniom wystawiających, a nieraz wprost niepodobieństwem ustawić grupowo różne, nieprawidłowo oprawione wieńce jeleni i t. p.

Sekcja naukowa miała zamiar nietylko przedstawić rozmieszczenie zwierząt łownych w Poznańskiem, lecz także w całej Polsce. Niestety, prośby nasze, skierowane do Ministerstwa Rolnictwa w celu użyczenia nam tablic poglądowych, nie odniosły skutku! Atoli apel wydany przez W. Z. M. w celu otrzymania pewnych danych od panów deleg. powiatowych, miał ten skutek, że p. nadleśniczy Mejer z Kurnika, zasłużony autor tablic rozmieszczenia zwierząt w Poznańskiem, otrzymał na liczbę 450 deleg. Rzeczypospol. — mówię i piszę—zaledwie ośm odpowiedzi! Cóż na to Szanowny Autor? Czyż nie mogą poprostu ręce opaść przy takim poglądzie na sprawy łowieckie, złączone z Pierwszą Polsk. Wyst. Łow., ze strony panów delegatów powiatowych!

Parostki. — Stwierdzam, że bezwzględnie najsilniejszy rogacz hr. Mycielskiego otrzymał oczywiście złotą tarczę, ale z powodu opóźnienia nie mógł zostać pomieszczony pomiędzy trzema najlepszymi, klasyfikowanymi kozłami. Tak samo kozioł p. Knothego bezwzględnie piękny i wspaniały, odznaczony złotą tarczą, nie mógł zostać umieszczony w „klasie", ponieważ również nadszedł z opóźnieniem po odbytej już Komisji Sędziowskiej.

I tutaj chciałbym zaznaczyć, że Szanowni Eksponenci mieli przecież tyle miesięcy czasu na punktualne nadesłanie swoich eksponatów, a jednak one nadchodziły nieraz z poważnem opóźnieniem!

Nie mogą więc żądać, aby Komisja Sędziowska, złożona z wybitnych myśliwych z całej Polski, a która tyle czasu poświęciła na sprawy jury, dla każdego eksponenta ponownie się schodziła.

Musimy się przecież trzymać zwyczaju innych społeczeństw łowieckich, i musimy się przecież nauczyć raz punktualności!

Parostki wieńce i szable p. Preka nadeszły również z opóźnieniem, nie mogły więc oczywiście uzyskać żadnego miejsca; tak samo, niestety, świetny zbiór hr. Bielskiego, odznaczony dodatkowo złotą tarczą.

Skreślając te kilka wyjaśnień dotyczących sprawozdania Szanownego Autora z dnia 22 ub. m., chciałbym, aby one były refleksją naszej Pierwszej Powszechnej Wystawy Łowieckiej i posłużyły wszystkim zwolennikom ku łaskawej uwadze na przyszłe nasze, — mam nadzieję, doroczne pokazy Łowiectwa Polskiego!

Na końcu chciałbym jeszcze zaznaczyć, że niestety, Szanowny Autor, wymieniając łaskawie zasługi Komitetu Wykonawczego Wystawy Łowieckiej, przeoczył osobę zasłużonego i sprawie wystawy niezwykle oddanego skarbnika W. Z. M., p. Henryka Górskiego z Poznania.

Cześć św. Hubertowi!

K. CHŁAPOWSKI,
Prezes Wlkp. Związku Myśliwych;
Wiceprezes Centr. Zw. Polsk. Stow. Łowieckich.

NOC NA KOSTIUKOWEJ WYSPIE.

Nareszcie nadszedł upragniony dzień. Rok szkolny skończył się. Świadectwa maturalne rozdane, a choć tam nie bardzo dobrze one dla niektórych wypadły, to jednak wszyscy, z lekkiem sercem opuszczamy mury miasta i zdążamy weseli na wieś, gdzie czekają na nas niewyczerpane rozkosze swobody i beztroski. Nasz kolega z nad błotnistej Sołokii, po którego nadeszła czwórka siwoszów, zaprzęgnięta do drabiniastego wozu, z dobrze wymoszczonemi grochowianką siedzeniami, bierze kilku znajomych, których rodzice mieszkają w bliższem sąsiedztwie, aby ich podwieść w odległe strony. Kolei, ani nawet szosy niema jeszcze w tych czasach, a mil zgórą dwanaście jechać trzeba końmi do domu.

Wyjeżdżamy z miasta skoro świt. Między kolegami mamy czterech gitarzystów. Usadawiamy się wygodnie na siedzeniach wozu, nucąc przy akompanjamencie gitar „Gaudeamus"... Wyruszamy tęgim kłusem przez uśpione ulice miasta. Furman od czasu do czasu pali z bata, aż echo rozlega się w ciasnych ulicach Lwiego grodu.

Gdzieniegdzie otwiera się okno i postać niewieścia w negliżu rannym wychyla głowę, przyglądając się ciekawie naszej wesołej, kawalerskiej jeździe. Wołamy chórem „do widzenia", wymachując w stronę otwartych okien czapkami. Za miastem cichną śpiewy i brzęki gitary. Świeży, lipcowy poranek, woń dojrzałego zboża, zapach skoszonych łąk i trele skowronków działają łagodnie i rozmarzająco na nasze podniecone nerwy. Wiele przed egzaminami nieprzespanych nocy dopomina się gwałtownie snu i wypoczynku. Milkną wspólne rozmowy, a zaczynają się „Boruchy". Kiwamy się na wszystkie strony, jak żydzi przy modlitwie, — usypiając na dobre.

W miasteczku, gdzie stanęliśmy po parugodzinnej jeździe, w domu zajezdnym na dłuższy popas, zjadamy z wielkim apetytem podany nam obiad i przy gitarach i chóralnym śpiewie spędzamy wesoło poobiedzie. Na dworze tymczasem zbiera się na burzę i ulewę. Przed samym wyjazdem deszcz leje, jak z cebra. Po naradzie z furmanem, zapadła uchwała, by deszcz przeczekać w zajeździe. Deszcz jednak rzęsiście pada do zmroku. Nareszcie ustaje.

Wyjeżdżamy, by resztę drogi odbyć nocą. Po dwóch godzinach jazdy, gdy byliśmy pośrodku wielkiego lasu, który przecinała droga, zrywa się ponownie burza z ulewnym deszczem i piorunami.

W chwili, kiedy lejcowe konie równały się ze słupem telegraficznym, stojącym przy drodze, piorun uderza w słup. Przestraszone konie przednie rzucają

się w bok gwałtownie. Furman traci nad nimi władzę i wóz nasz skręcony raptem w miejscu, przewraca się do fosy pełnej wody deszczowej. Chlapiemy się w niej, jak stado spłoszonych podlotów. Przemoczeni do nitki, rachujemy się w końcu, czy kogo nie braknie. Na szczęście nikt z nas nie doznał kalectwa i nikt nie pozostał w wodzie, — na dnie fosy. Rzeczy i pakunki przywiązane sznurami, pozostały na wozie. Gitary jednak doznały szwanku, czego mocno wszyscy żałujemy. Woźnica klnie lejcowe. Podnosimy wspólnemi siłami wóz, gramoląc się nań z trudem, jak żółwie na suchy brzeg z błota. Przy świetle błyskawic, po odbytej kąpieli oglądamy swe zegarki i widzimy, że jest już dwunasta godzina. Jeszcze conajmniej mamy cztery godziny jazdy do miasteczka nad Bugiem, gdzie mieliśmy stanąć na popas. Furman radzi swemu paniczowi, by zamiast jechać dalej, skręcić w bok, gdzie mieszka bliski krewny panicza, we dworze. Nasz kolega idzie za tą mądrą radą. W pół godziny zajeżdżamy na podwórze folwarku, gdyż przed dwór w takim stanie, jak byliśmy wtedy, i o tak późnej porze nie wypadało zajeżdżać i alarmować śpiących. Wchodzimy pod dach cugowej stajni, furmani ścielą nam pachnące, świeże siano, w jednym próżnym przedziale. Z poznoszonych tymczasem tobołów wyjmujemy, suchą na szczęście, bieliznę, i przebrani, kładziemy się na siano. Nakryci kocami, zasypiamy momentalnie snem twardym. Słońce już dobrze grzało, kiedy nas zbudzono, prosząc na śniadanie do dworu. Rozwieszone na słońcu ubrania już wyschły, a kto miał inne w walizie, przebierał się pośpiesznie, bo po przebudzeniu się mamy wilczy apetyt i śpieszno nam jest zasiąść przy stole. Po miejskich kawkach i herbatkach ze zbieranym mlekiem, kawa we dworze ze śmietanką z kożuszkiem, wiejskim chlebem pytlowym i świeżutkiem masłem, zdaje się być boskim nektarem. Po śniadaniu, pożegnawszy gościnnych gospodarzy, ruszamy niebawem w dalszą drogę. W mieście rozstaję się z kolegami i wsiadam na wózek wysłany po mnie przez szwagra, u którego miałem spędzić wakacje.

Chociaż ojciec mój nie był myśliwym i żadnej broni do rąk nie brał, jednak, gdy we mnie obudziła się atawistyczna żyłka myśliwska, rad był bardzo z tego i dogadzając moim pragnieniom, kupił mi dubeltówkę. Była ona z owych jeszcze dawnych strzelb, coś w rodzaju „Sagalas London a Bałabanówka", dwunastka, — naturalnie kapslówka, gdyż w tym czasie odtylcówek nie było.Z nabijaniem tego rodzaju broni było wiele trudu, a nieraz fatalnych pomyłek i zawodów. Na stanowiskach stają myśliwi; wtem dają sygnał ruszenia naganki. Wszyscy oglądają broń, czy jest w porządku, czy kapsle z kominków nie spadły. Z odwiedzionymi kurkami, z zapartym oddechem wpatrują się myśliwi w gąszcz przed siebie, kiedy pokaże się upragniona zwierzyna. Z lewej flanki lismykita idzie na myśliwego. Myśliwy gorączką, pali do lisa na sztych w miot i naturalnie chybia, obsypując mykitę nieszkodliwie śrutami. Lis po strzale skręca w bok i zdziera, co mu sił starczy, defilując przed całą linją strzelców. Myśliwi, jeden po drugim dublują do lisa a ten, choć już ma z tuzin śrutów w sobie, ucieka dalej. W minutę na całej linji nikt nie ma nabitej strzelby, a tu naganka głosi dziki. Zaczyna się gorączkowe nabijanie pustych luf. Niejeden przez prędkość i nieuwagę, pakuje w jedną lufę dwie porcie prochu, a do drugiej dwie śrutu. Ów sypie proch, następnie śrut, a potem przytyka kłakami i bije stemplem w lufie, jak baba, w stępie proso. Ciągły ruch myśliwych, nabijających broń, odgłos stempli, przybijających kłaki w lufach, płoszy dziki, i te, przerwawszy naganke, idą w miot z powrotem. To samo czynią i sarny, bo i dym z palących się przybitek, wiatr niesie w miot i ostrzega zwierzynę przed niebezpieczeństwem. Kończy się na tem, że kilka zajączków wybiega z miotu. Ten z myśliwych, który ma porządne dwie porcje prochu w jednej lufie, a dwie — śrutu w drugiej, strzela do szaraczka. Lecz, o dziwo, szarak uchodzi cało, za to myśliwy trzyma rękę przy ustach i krwawi, wyplunąwszy dwa przednie, prawdziwe zęby, bo sztucznych jeszcze nie używano. Takie i tym podobne pomyłki trafiały się często na polowaniach i dawały powód do żartów z niefortunnych myśliwych. Gorzej było, gdy padał deszcz, kapsle zamakały, kominki zatykał wilgotny proch i polowanie musiano przerywać. Z powodu lichej broni myśliwskiej i z różnych innych przyczyn, zwierzyny było w bród, szczególniej w okolicach obfitujących w gęste lasy, moczary i bagna.

Miejscowość, gdzie miałem spędzić wakacje u swego szwagra, była istnem „Eldoradem" dla myśliwego. Lasy, moczary i bagna ciągnęły się prawie nieprzerwanie na wszystkie strony, a pola uprawnego było tyle, by i przepiórka i kuropatwa miały się gdzie gnieździć. Z wiosną na tych uprawnych polach pluskały się wszędzie kaczki po rowach i bagienkach polnych. Jak rok długi, można było polować, i mieć zawsze coś do strzału. Liczne dęby na polach, pozostałe po karczunkach, obsiadywały chmary turkawek, siniaków i grzywaczy; dość było siąść pod dębem, by móc wkrótce ubić kilka gołębi. Na tych, trudnych do strzału ptakach ćwiczyłem się w strzelaniu i wkrótce nabyłem pożądanej wprawy. Ciąg wiosenny słonek sławny był w tych lasach. Na łąkach podmokłych, kszyków i dubeltów była niezliczona ilość. Kaczek — chmary. Z temi wszędzie się spotkać było tu można, gdyż po lasach świeciły się setki jeziorek, bagienek, strug i ruczai. W czasie lęgu, gdy kaczki siedziały na jajach i wodziły młode, kaczory gromadziły się w stada, i dnie przepędzały, ukryte w szuwarach, na jeziorkach leśnych. Bywało, gdy się cicho podejdzie nad brzeg jeziorka i klaśnie w ręce, zrywa się ciężko, prostopadle w górę chmara tłustych kaczorów. Po dwóch celnych strzałach z dwunastki, nieraz padało kilka sztuk na wodę. Gdy się obeszło więcej takich kniei, miało się kilkanaście ciężkich ptaków. Nieść ich samemu do domu nie było możności, to też wieszało się je za dzioby na sękach sosen, a potem przyjeżdżało się wózkiem i zbierało ubitą zwierzynę.

Dzików taka była moc w lasach, że robić trzeba było wciąż na nie obławy, bo czyniły wielkie szkody w zasiewach. Często na okolicznych jarmarkach widywano pręgowane prosięta; były to mieszańce świń domowych z dzikami, bo odyńce podchodziły w czasie godowym do wsi i robiły znajomości między błąkającemi się samopas po zagajnikach, loszkami. Całe, rozległe wioski w tej okolicy, ukryte były w lasach, każdy gospodarz miał spory kawałek swego lasu, a lasów gminnych były wielkie obszary. W takiej to błogosławionej dla myśliwych krainie, przeszedłem przez lat parę praktykę myśliwską, nabierając wprawy we władaniu bronią i obserwując pilnie życie i naturę zwierzyny. Często dnie całe, a nawet i noce, przepędzałem samotnie w kniei, oczekując rannego toku cietrzewi, a wieczorem — ciągu kaczek i słonek. Paląc ognisko, drzemałem nad niem, przysłuchując się głosom leśnych zwierząt i ptaków. Przenikliwy płacz leśnej sowy, śmiech puszczyka, hukanie puhaczy, szczekotliwy głos kozłów, piski kun leśnych, rozdzierający głos duszonego przez lisa, zająca, ranny klangor żórawi gnieżdżących się na moczarach, bek kszyków, hukanie grzywaczy, gruchot siniaków i turkawek, burkotanie tokujących cietrzewi, żałosny głos żołny (czarnego dzięcioła), świst skrzydeł kaczek lecących, kwilenie żałosne czajek, bek basowy bąka, czerkotanie trzciniaka, a często i dreszczem przenikające wycie wilka, były dla mnie powszednią i miłą muzyką, w którą wsłuchiwałem się z wielkiem zajęciem, by wniknąć w jej znaczenie i zrozumieć różne jej tony i warjacje. Po nieudałej próbie dotarcia do gniazd żórawich na niedostępnem bagnisku, którą podjąłem w towarzystwie przewodnika, wiejskiego chłopca, gdzie zapadłszy się w to-

piel, wisiałem przez parę godzin, trzymając się strzelby położonej na pływającym kożuchu traw i zielska, zanim chłopiec wrócił z domu ze skręconą z łyka lipy liną — z której pomocą wydobyłem się z groźnej topieli, — nabrałem respektu dla tutejszych bagien. Odtąd krążyłem tylko po brzegach, bojąc się zajrzeć w głąb mateczników. Nieraz widziałem chmary kaczek podnoszących się w górę, ze środka olchowego, zalanego wodą lasu. Przez olszynę przepływała rzeka płynąca ode wsi. W olszynie rzeka rozgałęziała się na liczne odnogi, tworząc rozległe łachy i zakręty. Spodem starych olch rosły krzewy kaliny, świdwy i szakłaku, splątane chmielem, gliśnikiem i wodnemi roślinami. Przejście przez tę plątaninę zdawało mi się niemożliwem. A jednak wkrótce przekonałem się, że i tam dojść można, lecz należy mieć przewodnika znającego dobrze ten matecznik. Jakoś pod koniec sierpnia zapoznałem się z synem leśniczego, akademikiem, zapalonym myśliwym, spędzającym wakacje u rodziców. Od tej pory polowaliśmy razem, co dla mnie było bardzo korzystne, gdyż mój towarzysz znał tu wszelkie kąty i ich tajemnice, a będąc starszy, miał więcej wprawy i doświadczenia w łowach .

Od niego dowiedziałem się, że w środku tego niedostępnego bagniska jest sucha, obszerna wysepka porosła lasem sosnowym, a okolona zewsząd czystą wodą, na którą wieczorem i rankiem zapadają setki kaczek. Wyspa ta zwie się „Kostiukowym garbem", a to z powodu niezliczonej ilości kości zwierząt nagromadzonych tam przed laty. Skąd się wzięła ta masa kości na wysepce niedostępnej, było to dla mnie narazie zagadką. Z czasem jednak, badając miejscowe stosunki, zdaje się, że tę zagadkę rozwiązałem. Ludność tutejszej wioski powstała z jeńców wołoskich, których tu osadzono na zgliszczach spalonej przez tatarów, wsi. Podczas napadów tatarskich ludność z dobytkiem chowała się na wysepce, do której od strony wsi można się było dostać korytem niezbyt głębokiej rzeki, o dnie piaszczystem. Prawdopodobnie w czasie takich, dość częstych napadów tatarskich, bydło i konie zgromadzone na niewielkiej wyspie, ginęło z głodu lub zarazy. Mogło to się w czasie wieków powtarzać wiele razy i stąd ilość kości nagromadzonych w tem miejscu. Mieszkańcy tej ciekawej wioski zwali czajki „tatarską sobaką", psem tatarskim. Poszło to stąd, że czajki, krążąc i kwiląc nad głowami ukrytych w szuwarach, mieszkańców wioski w czasie napadu, zdradzały miejsca ukrycia tatarom. Czajki, gdy człowiek wkroczy w ich miejsca lęgowe, krążą nad nim z krzykiem tak długo, dopóki nie odejdzie. Nieraz polując na błotach, byłem atakowany tak zawzięcie przez czajki, że w końcu musiałem strzałami odpędzać uprzykrzoną gawiedź.

Jednego południa w ciepły i pogodny dzień sierpniowy wyszliśmy z moim nowym towarzyszem z domu, by udać się na noc na Kostiukowy garb. Obszerne torby myśliwskie, które dawniej musiał mieć każdy myśliwy, wypakowane były starannie przyborami myśliwskimi, między którymi kłaki konopne niemałą grały rolę. Prócz prowiantów mieliśmy również i manierki napełnione winem i wódką. Ubranie nasze do polowania na błotach, składało się z kurtki wełnianej i spodni z grubego, domowego płótna. Obuwie stanowiły chodaki z surowca i onuce lniane. Idąc na błota, braliśmy z sobą parę onuc i spodni zapasowych, gdyż nawet wśród gorącego lata, przemoczone i zbłocone spodnie, nieraz do samego pasa, i mokre onuce zmienić należało po wyjściu na suchy brzeg.

Mając zamiar spędzić noc w lesie, braliśmy również i koce wełniane, zwinięte w rulon i przewieszone przez ramię. Tak wyekwipowani, doszliśmy na parę godzin przed zachodem słońca na brzeg bagniska. Towarzysz mój odszukał w krzakach dwa długie, mocne kije ukryte tam przez rybaków, a służące do pomocy przy przejściu w głąb bagniska. Gdyśmy weszli w zarośla i gąszcze, towarzysz ukazał mi w ścianie zbitej plątaniny krzewów, chmielu, sitowia i trzciny wązką szparę. Była to owa tajemnicza ścieżka, której niktby odnaleźć nie mógł, nie wiedząc, w którem miejscu jej początek.

Tu musieliśmy rozzuć się z chodaków, gdyż, jak towarzysz spraktykował, tylko boso można było utrzymać się na okrągłych, oślizgłych w wodzie pniach olszowych, ściętych zimową porą przez rybaków i ułożonych jeden za drugim w prostej linji. Pnie ścięte stanowiły kładkę aż do „Kostiuka" odległego o kilometr od kraju lasu. Niektóre pnie ściętych olch były pogrążone w wodzie czarnej, jak atrament, na łokieć, i więcej głęboko, inne za to, leżały ponad czarną, grzęzką topielą na metr wysoko. W niektórych miejscach pnie olszowe nie dochodziły do kęp, jakie tworzyły pniaki z korzeniami po ściętych drzewach. W takich miejscach należało szukać przed sobą kijem korzeni pniaka, sterczących w wodzie, i po



98-y, 99-y, 100-y i 101-y głuszce, zabite jednego ranka przez Maur. br. Potockiego w ordyn. Nieświeskiej (łok Rysi Róg) dn. 17.IV. r. b.

nich wydostać się na kępę. Z kępy znów należało wyszukać pogrążoną w wodzie, kłodę, po której już można było iść dalej. Po takiej karkołomnej ścieżce posuwaliśmy się powoli, w głąb tajemniczej olszyny. Najgorzej było z psem, seterem, którego wziąłem do aportowania ubitych kaczek. Ten, nim zrozumiał, że należy iść wolno za nami po oślizgłych pniach, ukrytych w wodzie, próbował płynąć. To mu jednak nie szło. Plątał się w wodnych zielskach i zmęczył się wkrótce tak, że zachodziła obawa, by nie utonął w bagnie. Musieliśmy ratować go i wydobywać na kładkę. Po tej nieudałej próbie szedł za nami, spadając od czasu do czasu w bagno z oślizgłego pnia, lecz już nie próbował pływania w niem, tylko wdrapywał się znów na kłodę i szedł coraz lepiej po niej.

(C. d. n.).

LEON STARKIEWICZ.

ROZMOWY O OBWODACH ŁOWIECKICH.

IV.

(Zob. Nr. 29).

C. Chciałbym się zobaczyć z panem referentem działu łowieckiego.

Referent starostwa. Jestem nim... Czem mogę panu służyć?

C. Prośba moja jest krótka, lecz na podanie motywów do niej potrzeba kilkunastu minut. Jeżeli szanowny pan referent nie ma dziś czasu, to proszę otwarcie powiedzieć, a przybędę w tej sprawie innym razem.

Referent starostwa. Jest pan zatem zdania, że „co się odwlecze, to nie uciecze!", ja zaś trzymam się innej zasady: „Nie odkładaj do jutra tego, co możesz zrobić dziś!".

C. Bardzo to dobra zasada, i szkoda, że nie łatwo daje się wprowadzać w życie.

Referent starostwa. Niechże więc pan opowie swą sprawę. Proszę jednak skracać się możliwie.

C. Dobrze! Postaram się wyłożyć całą historję jaknajkrócej.

Referent starostwa. Słucham!

C. Folwark mój, Grabowo, ma 23 włóki powierzchni. Był on na kilka lat przed wojną niemal dwukrotnie większy, lecz ojciec mój, przyciśnięty potrzebą, zmuszony był pozbyć się znacznej części swego majątku. Ziemię sprzedawał chłopom z wolnej ręki, gdyż o nabywców, na stół odrazu wykładających pieniędze, było wówczas łatwo. Tym sposobem w południowo-zachodniej stronie folwarku powstały liczne gospodarstwa, po 3 do 15 morgów mające. Nie sprzedano tylko przylegającego do obecnego majątku, 32-morgowego pasa wydm piaszczystych razem z czterema morgami lichej, żytniej ziemi. Amator na te nieużytki zjawił się dopiero w roku 1919, kiedy po śmierci ojca ja wstąpiłem w prawa właściciela. Był to 54-letni reemigrant z Ameryki, który dość hojnie zapłacił mi dolarami za owe piaski. Jegomość ten mówił, że w Ameryce dobrze mu się powodziło, że pozostawił tam dzieci, które dzięki dobrze płatnej pracy, sporo zarabiają i jemu jeszcze gotówkę przysyłają, i że mimo korzyści tęsknił do Ojczyzny i wrócił, aby w polskiej ziemi złożyć swe kości. Reemigrant ten okazał się człowiekiem bardzo przedsiębiorczym. W krótkim czasie wybudował sobie ładny, pięcioizbowy, murowany dom z piwnicą, schludną stajnię, wozownię i t. d. Następnie w odległym o dwa kilometry folwarku nabył prawo eksploatacji torfowiska, torfu wszakże nie sprzedawał, lecz zwoził do siebie i rozsypywał na piaskach. Ponieważ lato i jesień obfitowały w deszcze, na użyźnionych torfem piaskach posiał perz i tym sposobem piaski owe unieruchomił. Wiosną 1921 roku zdobył sadzonki sosny, świerku, modrzewia, dębu, brzozy, osiki, klonu, wierzby, grabu, bzu, dzikich grusz i t. p. i obsadził niemi pas poprzednich wydm. Jednocześnie czteromorgowy kawałek ziemi ornej unawoził torfem i sztucznymi nawozami, i założył sad. Znaczna ilość sadzonek na piaskach i w sadzie poprzyjmowała się, i obecnie, ku pognębieniu naszej niezaradności, przekonywamy się, że przy pracy i dobrych chęciach, z rzekomych nieużytków można zrobić „użytki". Niektóre drzewka dają już owoc, a dawne wydmy przedstawiają się teraz w postaci kobierca gęstego zagaju. Reemigrant zmarł ubiegłego roku, a pozostała wdowa sprowadziła z Ameryki, najstarszego syna z rodziną. Należy tedy przypuszczać, że wskutek powiększenia się ilości rąk do pracy, gospodarka jeszcze prędzej rozwijać się będzie i służyć za wzór dla sąsiadów. Dość często odwiedzam tych kulturalnych pracowników na glebie ojczystej i spędzam z nimi po parę godzin na miłych pogawędkach. Zdawałoby się, że to, co dotąd powiedziałem, nie ma żadnego związku ze sprawami, z któremi szanowny pan, jako referent łowiectwa, zwykle miewa do czynienia. Tak jednakże nie jest. Przekona się pan o tem z dalszego ciągu opowiadania. — Trzy lata nie polowałem na zające, chcąc dochować się obfitości zwierzyny na swoich gruntach. W tym też celu zimową porą rozwoziłem po polu marchew pastewną, owies w snopkach, koniczynę i jarmuż, i utrzymywałem strzelca, na którego sygnał kazałem pracownikom folwarcznym przerywać pracę i natychmiast konno, czy pieszo udawać się na pomoc w stronę sygnału. Dzięki tym zarządzeniom, udało się przychwycić na gorącym uczynku 4 kłusowników, 8 wnykarzy i 6 sidlarzy. Strzelec zastrzelił dużo wron i jastrzębi, kilkadziesiąt wałęsających się psów i kotów, kilka kun, 3 gronostaje i sporo łasic. Mimo te starania, zwierzostan zajęczy nie poprawiał się, o czem sądziłem z faktu, że podczas polowań na kuropatwy, mało kotów przed psem pomykało. Znajomi myśliwi, wiedząc o moich zabiegach, wymogli, abym urządził im polowanie tej zimy. Nie pomogły zapewnienia, że zwierzyny mało, choć, co prawda, ja sam nie przypuszczałem, aby zwierzostan mógł być tak marny, jak to się podczas polowania okazało: w sześciu pędzeniach w 7 strzelb zabiliśmy na 18 strzałów 16 zajęcy. Wszyscy myśliwi byli pierwszorzędnymi strzelcami, a nadetatowe dwa strzały dane były do wlokących się postrzałków. Flankami wyszło z miotów nie więcej niż 20 szaraków. Takim lichym rezultatem łowów czułem się nadzwyczaj przygnębiony, tembardziej, że nie mogłem znaleźć przyczyny ubywania zajęcy, boć i epidemji wśród nich nie było, i ochrona, zdawało się, była dostateczna. — Pewnego dnia wybrałem się do swoich „amerykan", lecz postanowiłem udać się tam nie, jak zawsze, drogą, ale wprost przez pole i zagajnik. Śladów zajęczych, prowadzących do zagajnika, widziałem kilkanaście, sam zaś zagajnik, dzięki różnorodności i gęstości sięgających do pasa i wyżej, drzewek i krzewów, wydał mi się idealną remizą zajęczą. Zaledwie jednak wszedłem w gąszcz, zawadziłem o coś i, jak długi, runąłem, drapiąc sobie twarz i ręce. Gorzej, bo i wstać mi było trudno, czułem bowiem, że nogę mam uwięzioną. Kiedy wreszcie podniosłem się, spostrzegłem na nodze wnyk. Szedłem więc dalej, wolniej i uważniej. Mimo to zaczepiłem się jeszcze o trzy oka. Po drodze znalazłem jednego uduszonego zająca i jednego żywego. Tego ostatniego, ma się rozumieć, uwolniłem z pętli. Wkrótce zorjentowałem się, w jakich miejscach wnykarze najczęściej zastawiają swe tortury dla zwierzyny, i zebrałem ogółem 76 wnyków. Zmęczony szukaniem i ziębnięty przywlokłem się do reemigrantów dopiero pod wieczór i pokazałem im swą zdobycz.

— Aha! To ja już wiem, po co oni tam chodzą!... Widziałem kilka razy chłopów, jak wchodzili w zagajnik i poszedłem nawet sprawdzić, czy mi drzewek nie połamali lub nie powyrywali, ale żadnych szkód nie zauważyłem... Panie dziedzicu! Dam panu na piśmie pozwolenie polowania na mym gruncie, a strzelec pański przyczai się wówczas i złowi kilku tych łotrzyków!... Właściwie ja sam mógłbym to zrobić, ale... rozumie pan... nie chciałbym narażać się chłopom tutejszym, którzy i tak uważają mię za coś lepszego od siebie, boczą się i panem mię nawet tytułują, choć przecież chłopem polskim jestem z dziada-pradziada!...

Podziękowałem mu serdecznie za wprost niespotykaną w tych czasach uprzejmość. Oświadczyłem wszakże, że z grzeczności korzystać nie mogę, gdyż grunt jego stanowi za mały teren w porównaniu do wymagań nowej ustawy łowieckiej.

— To niech pan dziedzic wydzierżawi całe Pograbowo, które ma przecież przeszło 16 włók.

Pograbowem chłopi nazwali odstąpioną im część Grabowa, w przewidywaniu, że z czasem całe Grabowo przejdzie w ich ręce. Wobec przymusowej parcelacji, być może, kiedyś to nastąpi, teraz wszakże jakoś wiążę koniec z końcem i nie mam zamiaru dalszego umniejszania swego folwarku... Rada amerykanina spodobała mi się. Zacząłem tedy przemyśliwać, jak ją przyoblec w szaty rzeczywistości. Wiedziałem, że na Pograbowie nie będzie można polować, bo, gdyby nawet kuropatwy zasiadły na polach Pograbowa, trudno byłoby znaleźć miejsce do strzału, oddalone więcej niż 100 metrów od rozrzuconych wszędzie budynków. Chodziło mi jednak przedewszystkiem o zaopiekowanie się remizą-zagajnikiem. Wiedząc o trudnościach organizowania spółek łowieckich od kilku ziemian i od członków zarządu towarzystwa myśliwskiego, nie łudziłem się, że łatwo mi uda się dopiąć celu, w każdym jednak razie postanowiłem próbować. Użyłem fortelu: powiadomiłem wszystkich właścicieli Pograbowa, że w niedzielę 20-go stycznia o godz. 15-ej odbędzie się u mnie zebranie kółka rolniczego i że przybyły z Warszawy prelegent będzie miał pogadankę o hodowli krów. Prosiłem nadto księdza, aby z ambony przypomniał parafjanom o tej pogadance. Przybyło na zebranie dużo chłopów, a z Pograbowa wszyscy. Po pogadance, kiedy zauważyłem, że pograbowiacy szykują się już do opuszczenia sali, powstrzymałem ich obietnicą, że jeszcze będzie jeden odczyt z dziedziny rolnictwa. Przyniosłem ze dworu swoje bezantenowe radjo z głośnikiem, odpowiednio je nastawiłem, i chłopi ze skupieniem wysłuchali interesującego odczytu. Kiedy speakerka zapowiedziała półgodzinną przerwę, słuchacze z zainteresowaniem zaczęli oglądać skrzynkę i tubę, i wypytywali mię, „jak cynsto psez te rułe z Warsiawy godajom". Wyjaśniłem, że codziennie można słuchać różnych odczytów, śpiewów i muzyki, a chorzy i starzy, którym trudno wyjechać w niedzielę na nabożeństwo, mogą u siebie w izbie, o ile posiadają aparat, słyszeć sumę z Poznania, Krakowa, a nawet z Wilna. Po przerwie, kiedy słuchali produkcyj muzycznych i wokalnych, widać było na ich twarzach niewymowny zachwyt. Widocznie warunki atmosferyczne były na ten czas bardzo sprzyjające, bo żadne zgrzyty i trzaski nie mąciły czystości tonów. Kiedy wyłączyłem głośnik, jeden z chłopków zapytał nieśmiało, czy pozwolę im częściej przychodzić na słuchanie „sksynki".

— Owszem, przychodźcie! — odpowiedziałem. — Ale nie zawsze zastaniecie mnie w domu... Zresztą, ja wam kupię taki aparat, nauczę was obchodzić się z nim, i nie będziecie przeto musieli chodzić aż do dworu na audycje! Aparat będziecie mogli kolejno przenosić z domu do domu.

— Jeśli tako łaska, to ślicnie dzinkujema wielmoznemu dziedzicowi.

— Nie będzie to żadna łaska, bo ja wzamian czego innego od was zażądam! Chodzi mi o to, abyście dali mi prawo polowania na Pograbowie. Jeżeli zgadzacie się zawrzeć ze mną kontrakt na 12 lat, to przyjdźcie wszyscy do dworu w przyszłą niedzielę o 4-ej po południu, a przy pomocy wójta, który również przybędzie, dopełnimy potrzebnych formalności.

— Zgodzoma się! — odezwały się liczne głosy.

— Jo sie ta nie zgodzom! — wrzasnął przyłapany w roku ubiegłym przez mego strzelca, wnykarz. — Có wy, głupie chłopy, robita!? Za grajunco i śpiwajunco masynke chceta iść w niewole do dziedzica!? Cy wy wita, ze dziedzicowy stselec wytłuce wom syćkie psy, którne za chałupe wylecom!? A potym jesce policyjo do sundu wos ciungać będzie,ześta nie mieli unych psów na łańcuchach! A jak któny chłopok ułapi zajonca albo kuropatwe, to w hareście kilko tygudni siedzić musi! A proc tego tyle bedzieta musieli płocić za to syćko kor, ze za te pinindze mozeta dziesieć tokich masynków kupić!

Przemowa ta, widziałem, zrobiła wrażenie na chłopach, musiałem przeto sprawę postawić jasno:

— Za drogi, bo parę tysięcy złotych kosztujący aparat radjowy, ja żądam od was prawa polowania na Pograbowie, a nie prawa spacerowania po waszych polach, boć spacerem tylko można nazwać chodzenie po terenie, gdzie wszystka zwierzyna wyniszczona jest przez wasze psy, wystrzelana przez kłusowników i wyłowiona przez sidlarzy i takich, jak przedmówca, wnykarzy! Ja wam zgóry płacę aparatem za zwierzynę, która przez dwanaście lat przebywać będzie na waszych polach, i osobiście lub przez strzelca pilnować będę, aby nikt jej tam nie tępił! Jeżeli gospodarze pograbowscy chcą mieć aparat, za którego pośrednictwem dużo pożytecznych nauk mogą posłyszeć i przy którym dużo przyjemnych chwil spędzać będą, niech wpłyną na przebywających wśród nich tępicieli zwierzyny, aby zaniechali swego niecnego procederu, w przeciwnym bowiem razie zmuszony będę przeciwdziałać im w sposób, prawem przewidziany!

W niedzielę 27 stycznia o oznaczonej godzinie przyjechał wójt, a po chwili zjawił się sołtys z Pograbowa z amerykaninem i trzema jeszcze gospodarzami. Pomimo dwugodzinnego oczekiwania nikt więcej na zebranie organizacyjne spółki nie przybył! Skończyłem. A teraz zapytam pana referenta, czy niema w starostwie jakiego okólnika, na mocy którego, tereny, wyniszczone przez kłusowników, podlegałyby przymusowemu oddaniu w opiekę chętnym hodowcom?

Referent starostwa. Długa opowieść pańska, być może, zainteresowałaby myśliwego, co zaś do mnie, to powiem panu otwarcie, że z niecierpliwością oczekiwałem jej końca.

C. Wybaczy pan, ale nie przypuszczałem, aby referentem spraw łowieckich mógł być niemyśliwy.

Referent starostwa. Wśród urzędników naszego starostwa niema myśliwych. Co prawda, pan starosta lubi pojechać na proszone polowanie, ale sam nie utrzymuje terenów łowieckich i nie należy nawet do tutejszego stowarzyszenia myśliwskiego.

C. Do kogóż zatem mam się udać dla otrzymania odpowiedzi na moje pytanie?

Referent starostwa. Ja mogę pana poinformować i oświadczam, że żadnych okólników zmieniających zasady prawa łowieckiego, a w szczególności ustanawiających przymus oddawania terenów w dzierżawę, nie otrzymaliśmy.

C. Czy nie uważa pan referent, że ustawa nasza jest bardzo na rękę kłusownikom?

Referent starostwa. Nie nasza rzecz o tem sądzić!

C. Jeszcze mam jedną prośbę do pana referenta.

Referent starostwa. Słucham... Poprosiłbym tylko bez motywów!

C. Przed kilku dniami wysłałem pocztą podanie o przedłużenie na rok bieżący, prawa posiadania broni przez mego strażnika łowieckiego... Czy nie mógłbym wycofać tego podania?

Referent starostwa. Czy strzelec zbroił co w ostatnich dniach?

C. Nie. Zawsze pełnił swą służbę bez zarzutu.

Referent starostwa. Nie rozumiem wobec tego, co pana skłania do wycofywania podania?

C. Wyjaśnienie pańskie i niemożność ujęcia w dzierżawę Pograbowa. Zaniecham wogóle karmienia zwierzyny i jej ochrony! Nie chcę już wydawać pieniędzy na hodowanie zwierzyny po to, by korzystali z niej tępiciele z Pograbowa.

Referent starostwa. To już pańska rzecz! Zwracam panu jego podanie..., a na tej kartce proszę pokwitować, że je pan wycofał. To potrzebne dla kancelarji.

Dr. J. ŻENCZYKOWSKI.

Ż Centr. Zw. Pol. Stow. Łow.

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu zostały zgłoszone następując kandydatury na delegatów powiatowych:

Karol Andruszewicz, Kozienice, Piłsudskiego, na powiat Kozienice.

Czesław Różański, Gotardy, p. Gąsocin na powiat Pułtusk.

Inż. Leon Martyniec, nadl. Oborniki, na powiat Oborniki.

Bolesław Branecki, leśn. Wielka Wola, na powiat Rawa Mazow.

Sylwester Rydygier, Dominikowice, p. Uniejów, na pow. Turek.

Janusz Skrzyński, Kraski, p. Dąbie n/Nerem, na pow. Turek.

Jan Niemojewski, Chudopsice, Nowo Tomyśl, na pow. Nowo Tomyśl.

Eugenjusz hr. Grabowski, Bydgoszcz, ul. św. Trójcy 1-a, na pow. Bydgoszcz.

Lista ogłoszona 2-gi raz.

Wydział Wykonawczy na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego mianował w dniu 22 lipca następujących delegatów powiatowych:

inż. Stanisława Kleję w Drohobyczu na pow. Drohobycz,

p. Stanisława Korwin-Milewskiego w Rudnej na pow. Rzeszów i

p. Wiktora Stanisława Orskiego w Skolem na pow. Skole.

OKÓLNIKI W SPRAWACH ŁOWIECTWA.

P. Wojewoda Pomorski wydał dwa następujące nader ważne okólniki w sprawach łowieckich:

Do Panów Starostów Powiatowych i Starosty Morskiego.

Znaczne straty, spowodowane w zwierzostanie ostrymi mrozami i wielkimi opadami śnieżnymi ostatniej zimy, zrodziły konieczność zwiększenia ochrony zwierzyny w roku bieżącym, jak również w następnych latach.

Skutkiem tego rozszerzyłem czas ochronny niektórych zwierząt rozporządzeniem z dnia 15.V.1929 r., ogłoszonem za Nr. 17 pod pozycją 115 „Pomorskiego Dziennika Wojewódzkiego".

Rozporządzenie to może jednak wywrzeć skutek korzystny jedynie w odniesieniu do uprawnionych myśliwych, nie wpłynie natomiast na zmniejszenie się kłusownictwa. Wobec tego, nawiązując do treści swojego pisma okólnego z dnia 15.IV. r. b. IV. D. 2984/29, zwracam ponownie uwagę na konieczność rozwijania jaknajwiększej gorliwości w śledzeniu przestępstw łowieckich przez organy policji państwowej i administracyjne, Panom podległe.

W celu wykonania należytej kontroli nad działalnością tych organów, zechcą Panowie zażądać jesienią r. b. od nich przedstawienia wyników akcji zwalczania kłusownictwa.

Pomorski Klub myśliwski, chcąc przyczynić się do skutecznego ścigania przestępstw łowieckich, oświadczył gotowość przekazania do mojej dyspozycji z dniem 1.I.1930 r. 500 zł. na fundusz nagród dla osób, które szczególną wykazały w tym kierunku gorliwość, oraz zwrócenia się do innych Towarzystw Łowieckich z apelem, by również złożyły na ten cel odpowiednie kwoty.

Zechcą przeto Panowie przedstawić mi z końcem r. b. takie osoby razem ze swą opinją i wykazem wykrytych przez nie przestępstw.

Zwracam również uwagę na konieczność zwiększenia kontaktu z delegatami Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, mianowicie przy sprawach, przy których decyzja pozostawiona jest ustawowo swobodnej ocenie Panów.

Ponadto należy energicznie pouczyć sołtysów, że powinni dbać o to, by polowania w tych gminach dostały się w ręce odpowiednich osób, a nie były oddawane osobom nieodpowiednim lub nawet znanym tępicielom zwierzyny, tylko dlatego, że są miejscowi.

Wreszcie polecam przestrzegać ściśle postanowień art. 27 rozp. o prawie łowieckiem z 3.XII.1927 r., zwłaszcza co do kart łowieckich, udzielanych na podstawie zezwoleń właściciela lub dzierżawcy polowania. Należy mianowicie baczyć na to, by na każdego posiadacza zezwolenia przypadało bezwarunkowo conajmniej 50 ha obwodu łowieckiego. W tym celu zechcą Panowie albo założyć specjalną ewidencję stałą kart wydanych na podstawie zezwoleń, lub też czynić odpowiednie adnotacje w ewidencjach ogólnych.

Wojewoda p. o. LAMOT.

W ostatnim czasie mnożą się skargi na kłusownictwo rozwielmożnione w wielu okolicach województwa pomorskiego. Najwięcej nawiedzone są lasy prywatne w części południowej Borów Tucholskich oraz lasy w powiecie świeckim, zwłaszcza w tych okolicach, gdzie po rozparcelowaniu większych majątków stworzono nowe osady.

Podobny stan rzeczy, o ileby miał trwać nadal, doprowadzi do doszczętnego wytępienia zwierzyny w okolicach, w których grasują kłusownicy z wielką szkodą dla Państwa i społeczeństwa.

Zapobiec temu może jedynie wzmożone śledzenie kłusowników. Działalność policji państwowej, aczkolwiek doprowadziła do zgromadzenia dużo obciążającego materjału, okazała się niedostateczną, a obławy przez nią urządzone, nie zawsze dały pozytywne wyniki, z powodu braku współdziałania innych czynników administracyjnych i prywatnych, któreby mogły w tym kierunku skutecznie dopomóc.

Przedewszystkiem powołani są do współdziałania w wyśledzeniu kłusowników sołtysi, gdyż znając najlepiej mieszkańców swoich wsi, będą mogli dostarczyć policji i strażnikom leśnym dokładnych informacyj o osobach podejrzanych o kłusownictwo i nieraz też donieść o zamiarach lub wyprawach tych osób na polowanie.

Dalszymi czynnikami, które mogą się przyczynić do ukrócenia kłusowictwa, są strażnicy leśni lasów prywatnych i państwowych. Współdziałanie wymienionych organów z władzami i organami policyjnymi w tropieniu kłusowników, jest nieodzowną koniecznością, bo tylko przy ich współdziałaniu obławy na kłusowników będą mogły wydać rezultaty pozytywne.

Biorąc powyższe pod uwagę, zechcą Panowie wydać odpowiednie zarządzenia, zmierzające do skutecznego zwalczania kłusownictwa na terenie im podległym.

Ze swej strony zwrócę się do Dyrekcji Lasów Państwowych o wydanie odpowiednich instrukcyj dla personelu lasów państwowych.

Nadmieniam wreszcie, że wobec szerzenia się kłusownictwa, powinni Panowie przy wydawaniu orzeczeń karnych, stosować jaknajwyższy wymiar kary i nakładać, prócz głównych kar, w szerokiej mierze kary dodatkowe, jak konfiskatę broni i zwierzyny.

Wojewoda p. o. LAMOT.

CZASY OCHRONNE.

P. wojewoda poznański (l. dz. 20061/29I) na podstawie art. 51, ustęp 2 lit. a rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem, zarządził co następuje:

Na przeciąg roku 1929, zabrania się polować na całym obszarze województwa poznańskiego:

a) na dzikie kaczki (kaczory, samice i młode) w czasie od 1 marca do 31 lipca;

b) na kuropatwy w czasie od 1 października do 31 sierpnia;

c) na zające — szaraki od 1 stycznia do 30 listopada.

Na zwierzęta te wolno zatem w r. 1929 polować tylko: na dzikie kaczki od 1 sierpnia 1929 r. do 28 lutego 1930 r., na kuropatwy od 1 do 30 września b. r., na zające-szaraki od 1 grudnia do 31 grudnia b. r.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia w „Poznańskim Dzienniku Wojewódzkim".

Równocześnie uchylam rozporządzenie moje z dnia 7 listopada 1928 r. L. dz. 30116/28 I (Pozn. Dz. Wojew. Nr. 47) odnośnie do zajęcy-szaraków.

Wojewoda wz. GROSZKIEWICZ.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

ZJAZD LIGI OCHRONY ŻUBRA.

W Poznaniu odbędzie się dn. 1, 2 i 3 września, po raz pierwszy w Polsce Zjazd Międzynarodowej Ligi Ochrony Żubra.

Program Zjazdu obejmuje następujące punkty:

1 września godz. 20-ta: zebranie powitalne w „Kole Towarzyskiem" (ul. Nowa).

2 września godz. 9½: pierwsze obrady w gmachu Uniwersytetu.

G. 12½ — 14: przerwa obiadowa.

G. 14 — 16: wspólne zwiedzenie Zwierzyńca oraz Muzeum Przyrodniczego.

Od g. 16: zwiedzenie miasta.

3 września g. 9½: obrady w gmachu Uniwersytetu.

G. 12½: obiad w dworze Huggera na terenie Wystawy.

G. 14: wspólne zwiedzenie Pawilonu Łowieckiego i zamknięcie oficjalnej części Zjazdu.

G. 15: podział uczestników na grupy i zwiedzanie P. W. K.

4 września: dzień przeznaczony na zwiedzenie Powszechnej Wystawy Krajowej.

Przy dostatecznej ilości uczestników, tego dnia wieczorem wyjazd do Krakowa.

5 września g. 7: przyjazd do Krakowa. Zwiedzenie Wawelu, muzeów i miasta; po obiedzie zwiedzenie kopalni w Wieliczce.

6 września: wycieczka do Zakopanego.

Organizacją Zjazdu zajmuje się komitet, na czele którego stoi prezes polskiego oddziału Ligi — p. Wł. Janta-Połczyński.

Redakcja „Łowca Polskiego" korzystając ze sposobności, prosi wszystkich Czytelników o propagandę na rzecz Sekcji Polskiej Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra. Składki kierować należy pod adresem: Kazimierz Szczerkowski, Poznań, P. K. O. 211-653.

ZRZESZENIA ŁOW. W LUBELSKIEM.

Województwo Lubelskie posiada 95 Towarzystw i Kółek Łowieckich, z czego na sam Lublin przypada 8, mianowicie: Polskie T-wo Łowieckie, T-wo Myśliwskie św. Huberta, Wojskowe Koło Myśliwskie Garnizonu Lubelskiego, Zrzeszenie Myśliwych w Lublinie, Lubelskie T-wo prawidłowego Myślistwa „Jeleń", Związek Powiatowy Chłopów Myśliwych w Lublinie, Koło Łowieckie Urzędników Skarbowych w Lublinie.

— **Próby polowe wyżłów.** — D. 7 września, staraniem Wielkopolskiego Związku Myśliwych odbędą się w Poznaniu „konkursy wyżłów dowodnych".

— **Dla żubrów i łosi.** W warszawskim ogrodzie zoologicznym wykonywa się obecnie odpowiednie instalacje, które doprowadzą rury wodociągowe do zagrody żubrów. W dalszej części terenu ogrodowego ma być urządzony rodzaj błotnistej sadzawki dla łosi.

— **Kolekcje ornitologiczne.** Na powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu okazale i pomysłowo wystąpiła Krynica. Staraniem naczelnego dyrektora zakładu, inż. Leona Nowotarskiego, przedstawiono Krynicę dawną, z przed 100 lat zgórą i dzisiejszą, cieszącą się ogromnem i zasłużonem powodzeniem. Między innemi wystawiono tutaj ciekawe kolekcje ornitologiczne ze zbiorów dra Franciszka Kmietowicza, b. burmistrza Krynicy.

— **Zwalczanie kłusownictwa.** — W czerwcu skonfiskowano kłusownikom następującą ilość broni myśliwskiej w powiatach: Chełm 1 sztukę, Hrubieszów 1 rewolwer, Lubartów 2 br. m. Lublin 2 br. m. i 6 rewolwerów, Łuków 2 br. m. Radzyń 2, Węgrów 1, Zamość 2 i 2 rewolwery. Razem 11 szt. broni myśl. i 9 rewolwerów.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

× **Rosyjskie skórki futerkowe.** — Wywóz skórek futerkowych przybiera coraz więcej w rozmiarach. Tłumaczy się to głównie tem, że rząd stara się wszelkimi sposobami o zmniejszenie ujemności bilansu handlowego. W roku ubiegłym wartość wywozu skór i skórek futerkowych wynosiła 120 milj. rubli. Jak rząd sowiecki forsuje ten eksport, objaśnić może statystyka porównawcza, która wykazuje w tym eksporcie wzrost o 700 proc. w porównaniu do eksportu w roku 1913. Futra surowe w sowieckim eksporcie stanowią za rok ubiegły najwyższą pozycję wywozową. Skóry te i futerka nie pochodzą jednak z polowania na zwierzęta dzikie, ale częściowo pochodzą z farm hodowli zwierząt futerkowych. Obecnie, wedle statystyki, istnieje na terenie republik sowieckich sześć farm hodowlanych, w których hodowane bywają zwierzęta o najcenniejszych futrach, jak np. lisy srebrzyste, kuny, skunksy, szopy i lisy krzyżowane. Oprócz wywozu szlachetnych futer i futerek, rozpoczął instytut eksportowy Z. S. S. R. wywóz tanich futer gotowych, których wyrób podjęto w ostatnich latach. Są to jednak tylko futerka niedokładnie wyprawione i przyjmowane przez zagranicę głównie jako półsurowiec i półfabrykaty, przeznaczone dla przemysłu uszlachetniającego.

Redaktorzy: Julian Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.

BIULETYN INSTYTUTU ŁOWIECTWA

Rok I. Warszawa, Sierpień 1929 r. Nr. 1.

Sprawozdanie z działalności Instytutu Łowiectwa.

Rok upłynął od chwili, kiedy na zjeździe łowieckim w Stanisławowie z inicjatywy ówczesnego wojewody dra Aleksandra Morawskiego uchwalono założenie Instytutu Łowiectwa.

Celem instytutu było, wzorując się poniekąd na analogicznej instytucji, istniejącej od szeregu lat w Niemczech, podjąć pracę w kierunku podniesienia łowiectwa w Polsce do poziomu, jaki mu się słusznie, jako odrębnej dziedzinie gospodarczej, należy.

Łowiectwo racjonalnie prowadzone jest już dzisiaj nauką, jak każda inna, i należyte ujęcie go wymaga zespolenia wszystkich sił fachowych, które swą wiedzą i doświadczeniem służyćby mogły ogółowi myśliwych-hodowców swą radą i pomocą we wszelkich sprawach z łowiectwem związanych.

Przez powołanie do życia Instytutu Łowiectwa wypełnioną została w ten sposób poważna luka w organizacji naszych zrzeszeń łowieckich, których praca dotychczasowa, aczkolwiek wydatna, ograniczała się głównie do szerzenia kultury łowieckiej i ochrony łowiectwa pod względem prawnym. Hodowla zwierzyny natomiast pomimo jej zasadniczej i doniosłej roli dla rozwoju łowiectwa pozostawała na drugim planie i pomoc w tym zakresie udzielana hodowcom była nikłą.

W zrozumieniu tej doniosłej roli, jaką instytut w rozwoju naszego łowiectwa odegrać powinien, spotkał się on z gorącem poparciem kół łowieckich na terenie Wschodniej Małopolski, gdzie się początkowo mieściła siedziba zarządu.

Już po upływie zaledwo kilku miesięcy istnienia instytutu, którego działalność obejmować miała całą Polskę, okazało się niezbędnem dla dalszego rozwoju instytucji przeniesienie zarzadu do Warszawy, jako punktu centralnego.

Podobnie jak na terenie Małopolski instytut cieszył się poparciem Małopolskiego Tow. Łowieckiego, tak na terenie Warszawy doznał poparcia Centralnego Związku Polsk. Stow. Łow., instytucji jednoczącej w sobie najpoważniejsze organizacje łowieckie wszystkich dzielnic Polski. W związku z przeniesieniem siedziby Zarządu odbyło się w dniu 11 maja r. b. Walne Zgromadzenie członków instytutu, na którem dokonany został wybór nowych Władz instytutu.

Na prezesa jednogłośnie wybrany został p. Stanisław Lilpop, vice-prezes Central. Związku Pol. Stow. Łowieckich, na wiceprezesów pp. Juljusz hr. Bielski, prezes Centralnego Związku i Małopolskiego Tow. Łowieckiego oraz p. Konstanty Chłapowski, prezes Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

Na członków Zarządu wybrano pp. Maurycego hr. Potockiego, Bohdana Gędziorowskiego, Janusza Kirchmayera, Hermana Knothego i Wacława Szperlinga.

Na sekretarza i skarbnika wybrany został p. Witold Balcer, kierownictwo zaś instytutu pozostało nadal w rękach p. Stanisława Kamockiego.

Członków liczy instytut stukilkunastu, w tej liczbie szereg Tow. Łowieckich z zarządem rezydencji P. Prezydenta Rzeczypospolitej w Spale na czele.

Instytut od początku swego istnienia kładł największy nacisk na praktyczną stronę organizacji, aby stać się instytucją użyteczną dla setek i nawet tysięcy właścicieli terenów łowieckich i najszerszego grona myśliwych. W myśl tego założenia instytut zorganizował Związek Łowiecki Hodowlany, którego zadaniem było w pierwszym rzędzie prowadzenie stacji doświadczalnej hodowlanej przy instytucie celem zaopatrywania swych członków w materjał zarodowy, jak zwierzyna oraz psy myśliwskie.

Ze względu na znaczne zapotrzebowanie szczególnie na zwierzynę zarodową, jak: kuropatwy, zające, bażanty i sarny, czemu Związek Łowiecki, a właściwie stacja doświadczalna sama nie byłaby oczywiście w możności nigdy sprostać, instytut dąży do stworzenia jaknajwiększej ilości terenów hodowlanych wśród swych członków, udzielając im w tym względzie jaknajdalej idącej pomocy. W ten sposób zapoczątkowaną została hodowla zwierzyny we wzorowo prowadzonym majątku Dzierzbice pp. Zieleniewskich w okolicach Kłodawy, niezależnie od majątku Teresina, gdzie zapoczątkowano własną hodowlę psów myśliwskich oraz zwierzyny, która przeniesioną będzie z terenów małopolskich dla łatwiejszego dozoru.

Dla wygody członków instytutu zorganizowaną została w Teresinie tresernia psów myśliwskich, która wszakże ze względu na jednoczesną hodowlę zwierzyny, nie może być na zbyt dużą skalę prowadzoną. Zadaniem jednak i troską instytutu jest wyszkolenie w tym kierunku ludzi, szczególniej zawodowej straży łowieckiej, gdyż jest to jedyna droga do rozwiązania tej naszej bolączki, jaką jest brak treserów psów myśliwskich.

Ponieważ narówni z brakiem treserów jest również brak i ludzi fachowo wyszkolonych w łowiectwie, instytut jako pierwszy krok zaradczy podjął wydanie podręcznika, dającego klucz i podstawę do dalszej samodzielnej pracy na tem polu. Niezależnie od tego instytut zamierza w najbliższym czasie przystąpić do zorganizowania specjalnych kursów łowieckich dla straży łowieckiej, na co uzyskał zgodę i aprobatę Ministerstwa Rolnictwa.

W dziale zwalczania chorób zwierzyny, instytut wykonał cały szereg sekcyj i badań bakterjologicznych, które to prace prowadzone są pod kierunkiem profesora uniwersytetu warszawskiego, dziekana wydziału weterynaryjnego, dra J. Gordziałkowskiego. Prace te mają niezmiernie doniosłe znaczenie, gdyż dają możność zapobiegania szerzeniu się chorób, dziesiątkujących nieraz zwierzynę. Życzyćby tylko należało, aby ogół członków instytutu korzystał w jaknajszerszej mierze z jego usług w tym kierunku.

Jedną z najtrudniejszych spraw dla instytutu było utrzymywanie stałego kontaktu ze swymi członkami, którzy będąc rozproszeni po całej Polsce, nie mogą oczywiście brać udziału osobiście w zebraniach, celem informowania się o pracach i rozwoju instytutu.

W tym celu dzięki Centralnemu Związk. P. Stow. Łowieckich wydawane będą Biuletyny Instytutu Łowiectwa, które ukazywać się będą w formie dodatku przy „Łowcu Polskim" raz na miesiąc.

Biuletyny zawierać będą obok perjodycznych sprawozdań z działalności instytutu, prace czysto fachowe z zakresu urządzenia łowisk, hodowli zwierzyny, hodowli zwierząt futerkowych, hodowli psów myśliwskich i ich tresury oraz zwalczania chorób zwierzyny.

Obok prof. Gordziałkowskiego, współpracę swą przyrzekli w tym kierunku wybitni specjaliści i ludzie nauki, jak profesorowie uniwersytetu poznańskiego, pp. dr. Runge i dr. Biehler oraz wybitny specjalista w zakresie hodowli zwierząt futerkowych, ja-

kim jest prof. Trybulski. Nie wątpimy, że z biegiem czasu uda się pozyskać współpracę szeregu nowych wybitnych sił fachowych, tak, by instytut skupić mógł u siebie nietylko elitę myśliwych i hodowców, ale i elitę fachowców.

Początki jak wszędzie, tak i tutaj są trudne, zwłaszcza wobec bierności naszego społeczeństwa do wszelkich poczynań, co oczywiście odbija się na środkach i hamuje szybki rozwój instytucji, nie należy wątpić jednak, że instytut przezwycięży wszystkie trudności.

Mamy w Polsce około 100 tysięcy myśliwych, z których gdyby tylko drobny procent uważał za swój obowiązek należeć do instytutu łowiectwa, stworzyćby można wielkie dzieło, z którego łowiectwo polskie mogłoby być dumne.

Lasy państwowe, jako jeden z największych właścicieli terenów łowieckich, nie powinny też pozostać obojętne w stosunku do instytutu i poprzeć go finansowo już bodaj tylko ze względu na konieczność przeszkolenia w łowiectwie straży leśnej, co jest jednym z podstawowych warunków, jeżeli gospodarka łowiecka w lasach państwowych ma wejść kiedykolwiek na nowe, właściwe tory.

Nie należy zapominać o tem, że kadry wyszkolonych fachowo w łowiectwie ludzi wynoszą w Niemczech zgórą 40.000, gdy u nas prawie że ich niema. Jakże wdzięczne pole do pracy leży u nas odłogiem w czasach, kiedy na utrzymanie bezrobotnych wydaje Państwo miljony.

Lecz cóż tu mówić o szkoleniu straży łowieckiej, kiedy nasi leśnicy kończą wyższe studja bez zaznajomienia się bodaj teoretycznie z tą dziedziną, tak zespoloną z ich przyszłym fachem. Taki stan rzeczy trwa już od roku w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Czas największy skończyć z „biernością w stosunku do łowiectwa.

Instytut Łowiectwa.

Statut Instytutu Łowiectwa w Warszawie.

§ 1. Stowarzyszenie nosi nazwę „Instytutu Łowiectwa". Instytut posiada własną pieczęć oraz odznakę, którą uprawnieni są nosić jego członkowie.

§ 2. Terenom działalności Instytutu Łowiectwa jest cała Rzeczpospolita Polska. Siedzibą Zarządu jest miasto stołeczne Warszawa. Oddziały Instytutu mogą być tworzone dowolnie.

§ 3. Instytut Łowiectwa ma za zadanie rozpowszechnianie i popieranie hodowli zwierzyny łownej i futerkowej oraz psów myśliwskich.

§ 4. Cele swoje i zadania spełnia Instytut Łowiectwa, przy zachowaniu obowiązujących przepisów prawnych, przez:

a) szerzenie kultury i etyki łowieckiej drogą specjalnych wydawnictw, odczytów i pokazów, oraz artykułów w prasie;

b) urządzanie konkursów i wystaw łowieckich, oraz przyjmowanie udziału w konkursach i wystawach tak w kraju, jak i zagranicą;

c) opiekę fachową nad terenami łowieckimi członków;

d) walkę z chorobami zakaźnemi zwierzyny łownej;

e) utrzymywanie i prowadzenie stacyj doświadczalnych oraz prowadzenie ksiąg rodowych psów myśliwskich;

f) szkolenie personelu łowieckiego;

g) organizację polowań i w szczególności łapanie żywej zwierzyny zarodowej;

h) pośrednictwo przy wymianie, sprzedaży i zakupnie zwierzyny zarodowej;

i) organizację eksportu zwierzyny zarodowej i bitej;

j) gromadzenie danych statystycznych i wyników hodowli, prowadzonych przez członków, oraz gromadzenie okazów do zbiorów, które mogłyby być zaczątkiem przyszłego ogólno-krajowego muzeum łowiectwa.

§ 5. Członkami Instytutu Łowiectwa mogą być wszyscy myśliwi i właściciele terenów łowieckich, oraz osoby, posiadające obywatelstwo polskie i rekomendacje dwóch członków Instytutu.

Członkiem honorowym może mianować Walne Zgromadzenie osobę prawną, lub fizyczną, za usługi na polu łowiectwa w ogólności, a Instytutu w szczególności.

§ 6. Przy Instytucie Łowiectwa może być prowadzona jednocześnie jako odrębna instytucja „Spółka Hodowlana" na podstawie odrębnego statutu.

§ 7. Członkowie „Spółki Hodowlanej" obowiązani są być jednocześnie członkami Instytutu Łowiectwa, natomiast członkowie Instytutu Łowiectwa nie są obowiązani być członkami udziałowcami „Spółki Hodowlanej".

§ 8. Członkami Instytutu mogą być osoby zarówno prawne, jak i fizyczne.

§ 9. Zgłaszający się na członka Instytutu Łowiectwa podpisuje deklarację członkowską i po przyjęciu przez Zarząd Instytutu wnosi składkę roczną w kwocie złotych 60, poczem otrzymuje legitymację członka Instytutu. Składka może być ewentualnie wpłacona w dwóch ratach półrocznych, płatnych każdorazowo zgóry.

§ 10. Członek Instytutu Łowiectwa ma prawo:

a) uczestniczenia z głosem decydującym w zgromadzeniach;

b) czynnego i biernego wyboru do władz Instytutu;

c) korzystania z wszelkich świadczeń Instytutu w zakresie jego działalności bezpłatnie, lub za opłatami, jakie zostaną przez Zarząd ustalone.

§ 11. Członek jest obowiązany:

a) stosować się do postanowień statutu i uchwał Walnych Zgromadzeń i Zarządu;

b) opłacać składki w terminie uchwalonym;

c) popierać działalność Instytutu i dbać o jego pomyślny rozwój.

§ 12. Członek Instytutu może w każdej chwili wystąpić po uregulowaniu swych zobowiązań względem Instytutu.

§ 13. Członek Instytutu może być wykluczony:

a) jeżeli nie uiszcza opłat członkowskich dłużej niż przez pół roku;

b) jeżeli działa na szkodę Instytutu, lub w jakibądź sposób wykroczy przeciw etyce lub kulturze myśliwskiej.

§ 14. O wykluczeniu członka decyduje w pierwszym wypadku Zarząd, w drugim zaś Walne Zgromadzenie członków.

§ 15. Fundusze Instytutu składają się z:

a) składek członkowskich,

b) subwencyj, ofiar i zapomóg nadzwyczajnych, oraz opłat za specjalne świadczenia.

Każdy członek Instytutu ma prawo do jednego głosu.

Instytut prowadzi rachunkowość zgodnie z przepisami prawa i przyjętemi zwyczajami.

§ 16. Kierownictwo Instytutu sprawuje Zarząd, wybierany przez Walne Zgromadzenie członków na przeciąg lat trzech. Co rok ustępuje trzech członków przez wylosowanie, a po dwóch latach według starszeństwa wyboru. Nie dotyczy to jednak Dyrektora Instytutu, Sekretarza i Skarbnika, którzy stanowią

stały, płatny personel administracyjny Instytutu i stosunek do nich opiera się na zasadzie umowy specjalnej.

Członkowie wylosowani mogą być wybierani ponownie.

Funkcje Sekretarza i Skarbnika mogą być powierzane jednej osobie.

§ 17. Zarząd składa się z 12 członków, a to Prezesa, 3-ch Viceprezesów, Dyrektora Instytutu, Sekretarza, Skarbnika i 5-ciu członków Zarządu.

§ 18. Bezpośrednim kierownikiem z ramienia Zarządu jest Dyrektor Instytutu, który jest z jednej strony wykonawcą uchwał Zarządu, a z drugiej urzędującym kierownikiem biura. Sekretarz jest kierownikiem administracyjnym Instytutu i zastępcą Dyrektora.

Dyrektor jest uprawniony w razie niemożności zebrania się Zarządu decydować w sprawach nagłych samoistnie, z obowiązkiem przedstawienia najbliższemu zebraniu Zarządu wydanych zarządzeń.

§ 19. Do kompetencji Zarządu Instytutu Łowiectwa należy:

a) przyjmowanie i wykluczanie członków w myśl § 13 ust. 1 i § 14 niniejszego statutu;

b) zarządzanie funduszami i majątkiem Instytutu;

c) zwoływanie conajmniej raz na rok Walnych Zgromadzeń członków;

d) wykonywanie uchwał Walnych Zgromadzeń i załatwianie spraw bieżących;

e) reprezentowanie Instytutu na zewnątrz;

f) przedstawianie Walnemu Zgromadzeniu sprawozdań za swych czynności.

§ 20. Wszelkie pisma i komunikaty natury administracyjnej i gospodarczej podpisuje w imieniu Zarządu Dyrektor Instytutu i Sekretarz, kwity kasowe Dyrektor i Skarbnik.

Pisma i odezwy natury ogólnej podpisuje Prezes Instytutu, Dyrektor i Sekretarz.

§ 21. Roczne i nadzwyczajne Walne Zgromadzenie zwołuje Prezes, lub jego zastępca, z własnej inicjatywy i na życzenie Zarządu, lub 10 członków, pisemnie na dwa tygodnie przed terminem.

§ 22. Zgromadzenie w pierwszym terminie jest prawomocne, gdy liczba obecnych równa się conajmniej $\frac{1}{3}$ wszystkich członków Instytutu Łowiectwa. W razie nieprzybycia dostatecznej liczby członków, w pół godziny po pierwszym terminie odbywa się drugie Zgromadzenie, które jest prawomocne, bez względu na liczbę obecnych członków, o czem winno być zaznaczone w zawiadomieniach.

§ 23. Uchwały i wnioski zapadają na wszystkich Zgromadzeniach zwykłą większością głosów. W razie równości głosów, ważną jest uchwała, za którą oświadcza się przewodniczący Zgromadzenia.

Członkowie mogą głosować przez pełnomocników.

Wybory do władz Instytutu odbywają się przez tajne głosowanie.

§ 24. Obrady na Zgromadzeniach są protokułowane i podpisywane przez Prezesa i Sekretarza.

§ 25. Kontrola czynności Zarządu w myśl uchwał Walnych Zgromadzeń prowadzona jest przez Komisję Rewizyjną.

§ 26. Komisja Rewizyjna przeprowadza przynajmniej raz na rok po zamknięciu rachunku z ubiegłego roku kontrolę działalności Zarządu i Dyrektora, zdaje następnie sprawozdanie z wyniku swoich czynności, oraz przedstawia odpowiednie wnioski Walnemu Zgromadzeniu.

§ 28. Zarząd Instytutu Łowiectwa może w każdej chwili zarządzić nadzwyczajną rewizję działalności Dyrekcji.

§ 29. Rozwiązanie Instytutu Łowiectwa nastąpić może na podstawie uchwały $\frac{2}{3}$ głosów przy obecności conajmniej połowy członków.

§ 30. W razie likwidacji Instytutu Łowiectwa, majątek przechodzi na rzecz pokrewnych instytucyj, stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia.

Hodowla kun, jako zwierząt futerkowych.

Ameryka przodująca na polu wszelkiego rodzaju wytwórczości nie pominęła ważnej dziedziny, jaką jest produkcja futer otrzymywanych ze zwierząt dzikich, hodowanych na specjalnych fermach. Do jakich rozmiarów produkcja ta doszła, wystarczy nadmienić, że w roku 1928 osiągnęli amerykanie z tego źródła zawrotną, jak na nasze stosunki, sumę 70 miljonów dolarów.

Śladem Ameryki idą Niemcy, Francja, Anglja, Szwajcarja, Czechosłowacja, słowem wszystkie państwa, nie wyłączając nawet Japonji, które zawiązały międzynarodowy związek hodowców zwierząt futerkowych, w którym brak jest niestety tylko Polski. Szkoda, jaka stąd dla nas wynika, jest znaczna, jeżeli się weźmie pod uwagę, że roczny import futer sięga u nas zgórą 30 miljonów złotych, gdy odwrotnie, wobec ogromnego popytu na futra na rynkach zagranicznych, eksportować moglibyśmy znaczne ilości.

Dotychczas zdołano bardzo znaczną ilość zwierząt futerkowych dzikich do tego stopnia oswoić, że hodowane są na fermach na podobieństwo zwierząt domowych. Najtrudniej jednak przedstawia się sprawa hodowli kuny, dostarczającej, jak wiadomo bardzo cennych i poszukiwanych futer, co nas powinno szczególniej interesować z uwagi na łatwość zaopatrzenia się w materjał zarodowy z naszych lasów, w których będąc systematycznie tępioną, może w niedługim czasie wyginąć.

Doświadczenia z hodowlą kun czynione są od wielu lat zagranicą, a nawet i u nas, rezultaty dotychczasowe jednak były ujemne — gdyż kuny w niewoli nie chciały się rozmnażać. Dopiero teraz zdaje się dzięki przypadkowi zdołano w Ameryce ustalić, co było przyczyną dotychczasowych niepowodzeń.

Powszechnie sądzono, że okres kopulacyjny u kun przypada na wiosnę i dlatego na ten czas tylko łączono je w pary — tymczasem obecnie stwierdzono na jednej z ferm doświadczalnych, że okres ten u kun przypada na czas pomiędzy końcem lipca i początkiem września, najczęściej jednak w połowie sierpnia. Dalej stwierdzono, że samce i samice żyją w dobrej komitywie ze sobą cały rok, jednak jeżeli się chce dochować potomstwa, wówczas nieodzownem jest odseparować samce od samic na czas od początku marca do końca maja, kiedy przychodzą na świat młode.

Samców nie można trzymać razem pod żadnym pozorem, gdyż gryzą się między sobą bez względu na porę roku. Samice, gdy mają młode, należy przez pewien czas pozostawić w zupełnym spokoju, unikając zaglądania nawet do gniazda, gdyż są w tym czasie do tego stopnia nerwowe, że z obawy, by im młodych nie zabrano, chwytają je zębami i wynoszą z gniazda, a nawet były wypadki, że pożerają. Młode w ilości od 2 do 4 sztuk rodzą się ślepe i zupełnie gołe, porastając włosem całkowicie dopiero po upływie 5 tygodni. Charakterystyczną rzeczą jest, że futro kun wyprodukowanych w niewoli bywa bardzo często o wiele ciemniejsze i puszystsze od kun żyjących w stanie dzikim, jest to więc jeden szczegół więcej, który powinien zachęcić hodowców do ich hodowli.

Instytut Łowiectwa.

Tępienie drapieżników jako pierwszy i nieodzowny środek poprawy zwierzostanów.

Wszystkim myśliwym, a w szczególności hodowcom zwierzyny jest wiadome, że nie może być mowy o racjonalnem prowadzeniu gospodarki łowieckiej bez jednoczesnego tępienia drapieżników. Celem naszym zatem jest nie przekonywać ogół o słuszności stosowania tej zasady, o której nikt nie wątpi, lecz jedynie wykazać cyfrowo, do jakiego stopnia tępienie drapieżników wywiera decydujący wpływ na poprawę zwierzostanu.

Wielce pouczającymi w tym względzie były dane statystyczne z okresu z górą 20 lat, zbierane przez ś. p. Feliksa Rożyńskiego na terenach łowieckich w Podzamczu, którymi przez długie lata administrował. Z roczników tych, któreśmy mieli możność przejrzeć na wystawie w Poznaniu, okazuje się, że dla zabicia zgórą 30 tysięcy sztuk zwierzyny użytecznej, niezbędnem było wytępienie w tymże okresie czasu o parę tysięcy sztuk drapieżników więcej, aniżeli zwierzyny użytecznej. Niezależnie od tego dane statystyczne wykazują jasno, że stała i stopniowa poprawa zwierzostanu szła do pewnego czasu w parze z ilością tępionych drapieżników. — Po upływie szeregu lat forsownego tępienia drapieżników, ilość ich zaczęła stale się zmniejszać, gdy natomiast ilość zwierzyny użytecznej w dalszym ciągu stale wzrasta.

Nie mając możności podania do wiadomości ogółu myśliwych tych niezmiernie ciekawych i pouczających, ścisłych danych dotyczących gospodarki łowieckiej, prowadzonej przez ś. p. Feliksa Rożyńskiego, ograniczyć się musimy do umieszczenia poniżej danych statystycznych, dotyczących kilkusetmorgowego terenu łowieckiego z okresu przedwojennego.

Ilość zabitych drapieżników i zwierzyny użytecznej.

Rok	Bażanty	Kuropatwy	Zające	Kaczki dzikie	Koty	Psy	Łasice	Tchórze	Wrony	Sroki
1910	2	41	7	51	59	28	41	11	127	87
1911	3	76	9	74	19	7	31	5	114	40
1912	29	145	48	132	17	2	19	9	87	31
1913	196	228	175	157	12	3	23	7	91	8
1914	107	315	208	112	14	1	12	2	71	14

Z cyfr tych widzimy, że pierwszą troską każdego myśliwego-hodowcy powinno być przedewszystkiem tępienie drapieżników, jeżeli chce w krótkim czasie zwierzostan poprawić. Równolegle do tępienia drapieżników powinno się zwrócić jaknajwiększą uwagę na należyte urządzenie łowiska, t. j. na możliwie najdalej idące dostosowanie gospodarki rolnej i leśnej do potrzeb zwierzyny, na zachowanie należytej proporcji pod względem płci i wreszcie na odświeżanie krwi, które powinno być bardzo oględne i ostrożne z uwagi na możliwości zawleczenia zaraz.

Najpewniejszym środkiem na tępienie psów, kotów, lisów, jastrzębi i srok, jest broń, na tępienie łasic, tchórzy i kun, żelaza lub pułapki, zaś na wrony, które ogromne szkody wyrządzają, niszcząc jaja i młode pisklęta — trutki fosforowe.

Trutki te w formie gałek, sporządza się z mieszaniny fosforu, krwi bydlęcej i otrąb. Najlepiej zakładać je po kilkanaście sztuk w miejscach, gdzie się wrony w większej ilości gromadzą, t. j. na polach koło kupek świeżo wywiezionego nawozu, lub koło stogów. Wrony truje się w ten sposób masowo bez obawy zatrucia zwierząt domowych. S. K.

Czy wyżeł może zwietrzyć kuropatwę siedzącą na gnieździe?

Dotychczasowe spostrzeżenia poczynione przez myśliwych w powyższej sprawie są krańcowo sprzeczne, zadaniem więc Instytutu Łowiectwa było sprawę tę zbadać i wyświetlić, opierając swe wnioski na podstawach przyrodniczo-naukowych.

Nie ulega wątpliwości, że wielu z myśliwych miało możność stwierdzenia niezbicie, że kuropatwa siedząca na gnieździe była przez wyżła wystawioną, natomiast niewątpliwie żaden z nich, o ile się tą sprawą specjalnie nie interesował, nie miał możności stwierdzenia, czy owa stójka nie była dziełem przypadku, t. j. czy wyżeł nie natknął się na gniazdo przypadkowo, zwietrzywszy kuropatwę na bardzo bliski dystans.

Jako zaprzeczenie powyższego zapatrywania niektórych myśliwych, przytoczyć wypadałoby bardzo liczne wypadki, kiedy wyżeł przebiegał tuż obok kuropatwy, siedzącej na gnieździe, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

Powyższy fakt stwierdził w obecnym sezonie prezes Instytutu Łowiectwa, pan Stanisław Lilpop w majątku swym Leśnej Podkowie pod Warszawą. Pomiędzy domem mieszkalnym a zabudowaniami gospodarczemi, znajduje się zagajnik, przez który prowadzi uczęszczana bardzo często przez służbę ścieżka, po której również przebiegały codziennie wielokrotnie i psy myśliwskie. Obecnie okazało się na zasadzie znalezionego gniazda oraz skorupek od jaj, że kuropatwa usłała sobie gniazdo tuż obok ścieżki i pomimo tych zdawałoby się wysoce niekorzystnych warunków, zdołała wszystkie pisklęta co do jednego wyłądz i wyprowadzić, nie będąc płoszoną przez przebiegającego obok niej wyżła. Analogicznych wypadków przytoczyć możnaby bardzo wiele i dotyczą one zarówno kuropatw, jak i wogóle wszelkiego ptactwa lęgnącego się na ziemi.

Doświadczenia przeprowadzane w tym kierunku na gniazdach kuropatw i bażantów dowiodły ponadto, że wyżły podprowadzane do miejsc, w których zgóry wiadomem było, że gniazda się znajdują, tem trudniej mogły je zwietrzyć, im okres wysiadywania jaj przez kuropatwę, lub bażancicę był późniejszy.

Jakież wnioski wysnuć należy z powyższych faktów i jak sobie to objaśnić?

Przedewszystkiem zdaje się nie ulegać wątpliwości, że sama przyroda dbała o zachowanie wszystkiego, co żyje, obdarzyła i ptactwo wijące swe gniazda na ziemi, tem wszystkiem, co może sprzyjać do jego ochrony. W tym celu, jak widzimy, wszystkie samice obdarzone zostały przez przyrodę, szarą lub bronzową barwą upierzenia, aby mogły być jaknajmniej widocznemi, a ponadto zdają się posiadać zdolność zatracania wydzielanego przez nie wiatru na czas dla nich najkrytyczniejszy, t. j. okres lęgów.

Wiadomem jest, że samiczki opuszczają na krótki czas swe gniazda dla szukania pożywienia. W miarę

jednak zbliżania się ku końcowi okresu wysiadywania, to oddalanie się z gniazda staje się coraz więcej krótkotrwałe. Obserwacje wskazały też, że ptactwo siedzące na gnieździe jest w stanie podgorączkowym, który redukuje stopniowo do minimum potrzebę zaspakajania głodu, co się ujawnia tem, że ptak szuka pożywienia możliwie w pobliżu gniazda, chociażby to znajdywane pożywienie różniło się zasadniczo od tego, do jakiego przywykł i ma upodobanie.

W konsekwencji tej zmiany rodzaju pożywienia następować musi oczywiście odpowiednia przemiana materji, mająca zasadniczy wpływ i na wydzieliny we wszelkiej ich postaci, t. j. nie wyłączając charakterystycznego dla każdego gatunku ptactwa, wydzielanego przez nie wiatru, który pod wpływem wysokiej temperatury redukuje się prawdopodobnie do minimum.

Z ustalenia powyższych faktów i obserwacji, wynikałoby, że wystawianie przez wyżły ptactwa, wijącego swe gniazda na ziemi, w okresie wysiadywania jej, możliwem jest tylko w pierwszych początkach; w późniejszym natomiast okresie, t. j. na krótko przed wylęganiem się piskląt, wystawianie jest raczej tylko przypadkowe.

S. K.

Z doświadczeń pokrycia i zasięgu strzałów z broni śrutowej.

Najdalszy zasięg strzału otrzymano z broni cal. 12 przy kącie pochylenia 25°, w którym to wypadku siła przyciągania ziemi na śrut wywiera wpływ najmniejszy. Dla ustalenia, które ze śrucin mają najdalszy zasięg i są najwięcej centrowne, zastosowano ułożenie w ładunku trzech warstw śrutu, z których każda zabarwiona była farbą w odmiennym kolorze. Próby dowiodły, że śruty najniższej warstwy, w szczególności boczne, ulegają największej deformacji i zasięg ich jest zasadniczo mniejszy. Niektóre jednak z nich miały zasięg większy nawet od śrucin górnej warstwy, co przypisać należy wyjątkowej deformacji, jakiej śruciny w danym wypadku uległy i która to deformacja miała wpływ na ułatwione pokonywanie oporu powietrza. Teżsame spostrzeżenia poczyniono odnośnie centrowności śrucin bocznych w ładunku i środkowych, które również dla odróżnienia zabarwione były odmiennymi kolorami. I w tym wypadku jak i poprzednim, zasadniczo śruciny środkowe były centrowniejsze, wiele jednakże śrucin bocznych dały pokrycie lepsze, co dowodzi, że wszystko zależne jest od rodzaju deformacji, jakiej śruciny ulegają w lufie, i od większego lub mniejszego skutkiem tego, oporu powietrza.

Uwagi o metodach wyszkolenia gajowych i strażników na kulturalnych łowiskach.

Każdy hodowca-praktyk podzieli niezawodnie moją opinję, że najgruntowniejsze przygotowanie terenu, najumiejętniej zasiedlonego odpowiednimi zwierzostanami, jeśli nie zostanie powierzone pieczy niższych funkcjonarjuszy na wysokości zadania stojących — nie dojdzie do należytego rozkwitu lub, w bardzo prędkim czasie doszczętu zmarnieje.

Na czele imprezy stać może wybitny nawet fachowiec lub właściciel, będący zamiłowanym hodowcą, jeśli jednak skromne trybiki mechanizmu szwankować będą — rezultaty okażą się niemal zeru równe!

Długie lata, z prawdziwą pasją oddając się kulturze i osiedleniu nowych gatunków na mych ukochanych Wierzchowieńskich terenach (Ukraina Kijowska), chciałbym się podzielić ze swoimi Czytelnikami wynikiem swych prac i obserwacyj na tem polu.

Otóż, zdaniem mojem, im większy jest obszar łowiska, tem trudniejsze jest zaprowadzenie na nim pewnych metod, regulujących sposoby wykonania dozoru, karmienia objektów hodowli, tępienia ich wrogów ze świata zwierzęcego oraz unieszkodliwienie daleko niebezpieczniejszych osobników — kłusowników.

Najsprawniejszy łowczy, rutynowany kierownik bażantarni nic nie wskóra, jeśli nie będzie miał do pomocy ciągle stojącego na posterunku, personelu.

Samemu ciągle należy zastosowywać swe metody w swych codziennych stosunkach do niższych podwładnych.

Jeśli obszary są rozległe, tembardziej leżące na naszych wschodnich rubieżach, jako jeden z pierwszych warunków uważam znajomość miejscowej gwary ludowej. Z biegiem czasu, gdy młodsze pokolenie przejdzie już przez polskie szkoły i wojskowość, oczywiście zbędnem to się stanie, co daj prędzej Boże!

Nigdy chłop poleski czy wołyniak nie odniesie się z należytym respektem do wyjaśnień i dyspozycyj w „pańskim" języku oddanych.

Wypowiem zdanie, które może uczynić wrażenie zbyt paradoksalne, mianowicie: że najlepszymi nieraz stróżami zwierzyny nie rzadko bywają ex-kłusownicy!

Wszelkie albowiem „arkana" i niecne praktyki ich byłych kompanów są im „expedite" znane — kontyngent „czynnych" rabusiów-tychołazów na całą okolicę też.

Oprócz tego ci osobnicy zwykle są głębokimi znawcami przyrody — bezwiednie czyste, prawdziwe „dusze myśliwskie"! Osiedleni na rewirach, obfitujących w zwierza i ptactwo, przywiązują się bardzo prędko do rojących się łowisk, stawiąc sobie za punkt honoru osiągnięcie coraz to lepszych u siebie rozkładów. Dziwnymi są zaiste nieraz mroki duszy ludzkiej.

Nie twierdzę, że z młodszego pokolenia nie można też „stworzyć" odpowiednich strażników łowieckich, lecz to już wymaga daleko większej selekcji pomiędzy kandydatami i zabiegów pedagogicznych.

Zresztą, nawet przy racjonalnym poziomie wiedzy fachowej strażników, sądzę, że psychologja sposobów zastosowywanych przezemnie w dłuższym czasu okresie, ma poniekąd zawsze swą rację bytu. W każdym bądź razie „du choc des opinions jaillit la verité" —więc, jeśli ktoś z Sz. Kolegów weźmie z tej racji pióro do ręki, już uważać będę swą misję podjęcia palącej tej kwestji za spełnioną.

Oprócz bardzo wysokiego strzałowego: 5 rubli za kunę, 3 rb. za lisa, 1 rb. za tchórza, 50 kop. za łasicę, 75 kop. za gołębiarza, 30 kop. za kota, 25 kop. za psa, 20 kop. za wronę szarą, srokę (dla kontroli winni byli znosić nietylko łapki, lecz i skrzydła, a to celem ratowania Bogu ducha winnych gawronów, pustułek, myszołowów i t. d) — wszyscy gajowi u mnie otrzymywali tak zwane „zwierzynowe" — 3 ruble od rogacza lub daniela, 50 kop. od bażanta, 30 zająca, 20 kuropatwy.

Rejestrowało się ogólną ilość podjętych, odnośnych sztuk — w przeciągu całego roku łowieckiego na całym terenie (rok liczył się od 1-go do 1-go kwietnia) — sumę dzieliło się równomiernie pomiędzy wszystkich gajowych. Na tej zasadzie strażnik jakiegoś „rzadkodębia" naprzykład, pod samą wsią położonego, na którem jedynie psa — kundysa, kota lub wronę spotkać można było — zainteresowanym pozostawał w tym samym stopniu co do etatu zwierzostanów — narówni z leśnikiem „rojącego" się rewiru.

Owe dwie premjowe pozycje wynosiły dla niektórych lepszych strzelców podwójną, a nieraz potrójną pensję miesięczną. Pobierali oni na ten czas od 15—20 rubli w charakterze stałego uposażenia, czyli do 240 rubli rocznie.

Gruntownie obznajmiony z psychologją zawiści chłopskiej względem ekskluzywnego korzystania z całej tej masy zwierzyny, będącej na rozkładach (10 gajowych podało podczas 3-dniowego polowania dorocznego, od 300 — 500 zajęcy, 500 — 700 kg.) — po każdych takich gremjalnych łowach otrzymywał każdy gajowy naturą dwa szaraki i jednego bażanta, gwoli osobistego delektowania się z rodziną z ochranianych przez nich objektów. Unikało się przytem zjadliwych myśli: „Oto panowie sami tylko „obżerają się" — a „bidnemu" człowiekowi, co to okrągły rok koło tego haruje — ani skosztować nawet".

Uzbrojeni byli w odtylcówki jednostrzałowe, przerobione ze starych wojskowych karabinów Berdana. Wybitniejsi strzelcy posiadali nawet wyśmienite tulskie „centrałki" — dubeltowe.

Oprócz tego, dla samoobrony konieczne są rewolwery, chociażby liche — dla poczucia „moralnego" bezpieczeństwa i fantazji.

Proch i śrut nabywali własnym sumptem z gaży miesięcznej (ryczałtowo przez zarząd dóbr) —a to gwoli zaniechania strzelania „do celu", na „wiwat", gdy zdarzyło się im być „pod dobrą datą" — i wogóle dla „nieryzykowania" dalekich „kaleczących" strzałów. To też trzeba było widzieć, jak oględnie szafowali oni tymi swoimi ładunkami.

Oczywiście, że wszyscy byli umundurowani w szare tużurki o zielonych kołnierzach i obszyciach i fu- rażerki z takimi otokami, zimą w baranie „nansenowskie" czapki z odpowiednimi, zawodowymi emblematami.

Czynnik to też bardzo ważny dla podjęcia śród braci leśników pewnego honoru w ich samopoczuciu, gdyż obdartus nietylko u innych, lecz we własnych oczach miru nigdy mieć nie może.

Jeden z bardzo osięgających celu wychowawczego kontrolnych zabiegów polegał na tem, że ja osobiście lub nadleśny czy łowczy, zjechawszy do danego rewiru, oddawał z odstępami trzy lub cztery strzały.

Z zegarkiem w ręku, siadał na stołku myśliwskim czy pieńku i wyczekiwał.

Stosownie do odległości tej lub innej gajówki od zajętego punktu w X minut, powinien był (biegiem) zjawić się odnośny leśnik.

Oczywiście nocą termin był nieco dłuższy. Jeden po kolei dyżurował, odbywając patrole całą noc w towarzystwie najbliższego kolegi odprowadzającego do następnej gajówki.

Stawienie się przepisowo w terminie pociągało za sobą dwurublową gratyfikację — atoli za opóźnienie otrzymywał karę tegoż rozmiaru z uposażenia potrącaną.

Zastosowując ten sposób, osiągnąłem bajeczne rezultaty. Wierzchownia stała się piekłem dla kłusowników. Po strzale w lesie, czy zagajniku albo na polach — jak z rogu obfitości — cwałem lecieli gajowi dla złapania in flagranti amatora smakowitych comberków i wykarmionych bażantów. Notabene: zasądzone kwoty też stanowiły własność straży łowieckiej. Oponować nie można, że cały ten system był niepomiernie drogi. Otóż, rzecz dziwna i godna uwagi! Byłem jedynym zdaje się hodowcą na ten czas na Ukrainie (b. gub. kijowska), który nietylko po kilku latach gospodarki łowieckiej w swych majątkach i po amortyzacji inwestycyjnych nakładów nic nie wydawał na hodowlę, ale nawet pokrywając wszelkie koszta, dawał pewien dochód czysty. Prawda, że jaj bażańcich sprzedawaliśmy rocznie od 8 — 12 tysięcy sztuk, żywych kogutów i kur bażancich też nie mało. Przypisuję te świetne rezultaty w znacznej mierze etatowi, organizacji i wyszkoleniu straży łowieckiej „vulgo" gajowych.

Ponieważ wszystko co dąży do podniesienia umiłowanego przez nas kultu zielonego sztandaru, tej ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego, jaką jest niezawodnie racjonalna hodowla zwierzyny stanowić winno naszą troskę i cel naszych dążeń — przeto dzielę się swemi skromnemi wskazówkami na tem polu.

ADAM RZEWUSKI.

Od Redakcji: Biuletyny Instytutu Łowiectwa będą ukazywać się w „Łowcu Polskim" w pierwszym numerze każdego miesiąca.

Redaktor: inż. Stanisław Kamocki.

Głupie kury.

— Jakie te kury głupie — narzekał chłop, — kiedy jaja są najdroższe, niosą ich najmniej.



KUPUJCIE NIEZAWODNY NABÓJ

„P O C I S K"

CAŁKOWICIE WYKONANY W KRAJU.

OGŁOSZENIE

Zarząd spółki łowieckiej w m. Mszczonowie podaje do publicznej wiadomości, że w dniu 3 sierpnia r. b. o godzinie 12 w południe w kancelarji Magistratu odbędzie się przetarg na wydzierżawie terenu polowania, którego obszar wynosi około 1300 ha.

Oferty należy nadsyłać do Magistratu m. Mszczonowa z zaznaczeniem na kopercie „Oferta na polowanie".

Życzący wziąść udział w przetargu winni przed rozpoczęciem takowego złożyć na ręce Przewodniczącego Spółki vadjum w kwocie zł. 50.

Zaznacza się, że po otwarciu kopert ofertowych może być zarządzony przetarg ustny.

m. Mszczonów, dnia 23 lipca 1929 r.

Przewodniczący Spółki.

Firma egzystuje od roku 1872.
ZAKŁAD ZEGARMISTRZOWSKI

M. POZZI i P. CZERNIK

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT NR. 18.
Sprzedaż i reparacja z dwuletnim poręczeniem.
Przy sklepie specjalna pracownia precyzyjnych robót.
Na żądanie reparacja w ciągu 24 godzin.

OD PÓŁ WIEKU POWSZECHNIE ZNANY ZE SKUTECZNOŚCI
NISZCZY BRODAWKI SKÓRY STWARDNIENIA ODCISKI
ARAGO
ST. GÓRSKIEGO
WARSZAWA

POT NÓG, RĄK, PACH
PO 1 UŻYCIU USUWA
EKSIKANS
ST. GÓRSKIEGO

ZAWIADOMIENIE.

WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

WARSZAWA	POZNAŃ	LWÓW	WILNO
Królewska 17	Gwarna 12	Plac Marjacki 4	Wileńska 10

ukończyła budowę FABRYKI AMUNICJI na Targówku (Warszawa-Praga) i

poleca P. P. Myśliwym

nowe śrutowe naboje firmowe żółte całkowicie wykonane w kraju.

Wyroby nasze wystawione w Pawilonie Łowieckim na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, zostały odznaczone najwyższą nagrodą — ZŁOTĄ TARCZĄ.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15